POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 4-go października 1941r.** **Rok III. Nr. 40**

Dwa lata z dziejów naszych . . .

Gdy myślę o dwu latach ostatnich, odkąd po klęsce w kraju rozpoczęliśmy pracę na obczyźnie, nie widzę tego okresu w oderwaniu. Są to dwa lata wielkiej, nieustającej, tysiącletniej całości, której pasmo faluje wzniesieniami i upadkami. Dlatego dźwięczy mi w myśli nagłówek jednej z najpiękniejszych i najbardziej przejmujących prac Karola Szajnochy: Dwa lata z dziejów naszych. Opisał on w nich zdarzenia z lat 1646-48, w przededniu wielkiej zawieruchy, która przez Korsuń i Piławce, ale i Zbaraż, wiodła do Beresteczka, a tak samo można by mówić o dwu latach 1655-56, w których Jasna Góra zwiastowała ocalenie z potopu, lub o latch 1672-73, w których po utracie Kamieńca przyszedł Chocim a nadchodził i Wiedeń. A przecież, poza tymi właśnie przeprawami, które upodobał sobie i obrał Sienkiewicz dla pokrzepienia serc, można by mnożyć wiele podobnych wspomnień dwu czy więcej, niż dwu lat grozy i zorzy w toku dziejów naszych.

Oto istota rzeczy. Koło się toczy. Nic się nie skończyło. I nie jest co raz gorzej. Już zaczęło być co raz lepiej.

Przed dwoma laty, w Paryżu, dnia 30-go września, powstał Rząd pod przewodnictwem jen. Sikorskiego, mianowany przez Prezydenta R.P. Raczkiewicza, wyznaczonego na ten urząd przez b. Prezydenta w myśl postanowień ustrojowych Państwa.

Chwila to była niewysłowienie straszliwa. Od miesiąca z zachodu fala od dwu tygodni od wschodu, kraj zalany był i już w całości objęty najazdem. Warszawa padła 28-go września i skamieniała w bólu przeżywała wejście 1-go października, wojsk niemieckich. Tu i ówdzie, jak na Helu lub pod Kockiem, dogasał opór ostatnich redut. Bezmiar klęski nie mieścił się w umysłach.

W świat szła wieść o nowym rozbiorze Polski, w układzie niemiecko-sowieckim z 28-go września 1939, jakby łoskot przybijanego wieka trumny, a co chwila padało hasło niemieckie, że Państwo Polskie już nigdy nie powstanie.

Cóż pozostało Polsce?

Pozostała nam—obok nieskalanej czci imienia polskiego, ocalonej przez naród, który zaborczemu pochodowi niemieckiemu pierwszy przeciwstawił opór zbrojny i bohaterskie męstwo—niezłomna, z chwały wieków płynąca i o doświadczenia wieków oparta, wiara w niezniszczalny byt Polski i wraz z nią niezawodny zmysł życia i czynu.

Z natchnienia tej wiary i z pędu tego zmysłu życia stanął przed dwoma laty na posterunku Rząd Polski pod przewodnictwem Jenerała Sikorskiego.

I jakżeż jest dzisiaj po dwu latach?

Stanowisko i waga Polski w tym olbrzymim przełomie dziejowym mierzą się po prostu i jedynie naszą wartością, naszą siłą, naszym wkładem w tę wojnę.

Otóż pierwszą i podstawową siłą naszą jest Kraj. Od pierwszej chwili objęcia steru Rządu oświadczył jen. Sikorski, że Rząd będzie działał z ducha i z ramienia Kraju oraz w ścisłej z nim łączności. Ten związek najściślejszy z Krajem ustalił się i istnieje tak mocno, tak niezachwianie, tak bez skazy, jak nigdzie, co znajduje swój wyraz w tym, że nie ma u nas żadnego w tym względzie rozdwojenia, nie ma żadnego rządu ugody z najeźdźcą, lecz dla całego Kraju i dla wszystkich Polaków w świecie istnieje jeden tylko Rząd Polski jen. Sikorskiego.

Ta jedność Narodu i Rządu—przeciw której Niemcy nie znaleźli i nie znajdą żadnego Polaka—jest wyrazem bodaj najdobitniejszym naszej siły i zarazem niezrównanej postawy Kraju wśród burzy dziejowej i ciężaru ofiar, jakich nawet Polska jeszcze nigdy nie zaznała w swej często twardej przeszłości.

Przodujące w tym względzie stanowisko Polski jest dzisiaj w świecie powszechnie uznane.

Przypomnijmy słowa Churchill'a z 3-go maja tego roku:

"Co dzień plutony egzekucyjne Hitlera czynne są w wielu krajach. W poniedziałek wystrzeliwuje on Holendrów, we wtorek Norwegów, w środę Francuzi lub Belgowie idą na miejsce kaźni, w czwartek Czesi muszą cierpieć, a teraz przybyli jeszcze Serbowie i Grecy dla uzupełnienia tej ohydnej listy prześladowań, lecz co dzień, każdego dnia, ofiarami są Polacy. Zbrodnie popełnione przez Hitlera na waszym Narodzie, zniszczenie waszego kraju, zrujnowanie ognisk domowych, gnębienie wiary, zamienianie Polaków w niewolników, przekraczają i w rozmiarach i w swej potworności wszystkie ohydy popełnione w innych podbitych krajach."

Gdy Rząd Polski jen. Sikorskiego spogląda dziś na dwa lata swej działalności, pierwszą jego myślą jest pokłon, złożony bohaterstwu Kraju.

Drugą naszą siłą jest czyn zbrojny wojska, marynarki, lotnictwa.

Żołnierz polski bił się do upadłego w Polsce we wrześniu r. 1939 przeciw całej potędze niemieckiej i dopiero przebieg walk w innych krajach nauczył świat cenić męstwo polskie.

Odrodzenie zaś siły zbrojnej polskiej na obczyźnie w toku tej wojny pozostanie na zawsze jednym ze zdarzeń najbardziej promiennych na przestrzeni naszych dziejów. Odezwała się krew spadkobierców duchowych Legionów Dąbrowskiego z przed półtora wieku po rozbiorach Polski. Znojny i przepiękny ciąg żołnierza polskiego poprzez dalekie kraje do władz polskich i pod sztandary polskie pozostanie na zawsze świetlaną smugą wśród chwał imienia polskiego.

I oto kilkadziesiąt tysięcy żołnierza polskiego, niespodziewanie dla świata, jak z ziemi wyrósł, stanęło w kilka już miesięcy po klęsce w kraju na wolnej wówczas ziemi Francji. A gdzie żołnierza polskiego postawiono, tam bił się i nie poddawał się. To, że wojsko polskie biło się we Francji, a nawet i w Norwegii, zaważyło znowu na rzecz tego dobrego dźwięku, jaki ma dziś w świecie nazwa żołnierza polskiego.

Po klęsce Francji nasze siły zbrojne, jakby nowym cudem, odnalazły się w Wielkiej Brytanii.

Dzisiaj nasza marynarka wojenna, a obok niej i handlowa, która również pełni dzisiaj służbę wojenną, sławnymi czynami swych Orłów, Wilków, Wichrów, Gromów i Piorunów, weszła już w wielką baśń tej wojny i zdobyła sobie miłość najbardziej morskiego narodu. Lotnictwo polskie opromienione jest sławą światową, która z każdym dniem i każdą nocą rośnie, rośnie, rośnie. Wojsko polskie broni wybrzeży Wielkiej Brytanii, walczy już zaszczytnie na Bliskim Wschodzie, odtwarza się na obszarze Rosji, zbiera się w Ameryce.

W głównej trosce o te dwie podstawowe siły polskie, o opór kraju i o czyn zbrojny, rozwija się działalność polityczna Rządu jen. Sikorskiego.

Oceniać ją nie jest moją rzeczą, ale powiem, że na podstawie dotychczasowego stanu, patrzymy w przyszłość z otuchą.

Polska, jako państwo niepodległe, uznana jest, wraz z uznaniem i przez uznanie Rządu Polskiego, wszędzie, jak świat długi i szeroki, gdzie nie włada Hitler i jego pachołkowie, a więc na wolnych jeszcze krańcach Europy i we wszystkich innych częściach świata.

W Wielkiej Brytanii współpraca Rządu Polskiego z Rządem Brytyjskim, a także z rządami wszystkich krajów Imperium Brytyjskiego, jest tak ścisła, na takim zaufaniu oparta, tak niezawodna w próbach zdarzeń, tak podparta wzrastającym zrozumieniem i dobrymi uczuciami społeczeństwa brytyjskiego dla Polski, że napewno przerastą to najdalej idące oczekiwania.

Pobyt Prezesa Rady Ministrów i Wodza Naczelnego jen. Sikorskiego w Ameryce, w kwietniu r.b., w osobistym zetknięciu się jego z Prezydentem Rooseveltem i mężami stanu z pośród najbliższych jego współpracowników, położył podwaliny pod tak głęboko przyjazne stanowisko Białego Domu i Stanów Zjednoczonych wobec Polski, że pragnąć możemy tylko dalszego pomyślnego w tym duchu rozwoju.

Gdy zaś, z dniem wybuchu wojny między Niemcami a Rosją, wybiła godzina męskiego postanowienia na gruncie odwiecznego splotu sił dokoła Polski, Rząd jen. Sikorskiego nie zawahał się i zawarł układ polsko-sowiecki, który nie tylko starł rosyjskie uczestnictwo w rozbiorze Polski i wywołał brytyjskie i amerykańskie stwierdzenie nieuznawania zmian granic dokonanych na obszarze Polski od r. 1939, nie tylko otworzył wrota dziesiątkom tysięcy Polaków z obozów jeńców do obozów nowych sił zbrojnych pod sztandarem polskim, a setkom tysięcy zesłanych przyniósł ocalenie, ale także, jako dzieło polityczne, wzmocnił bardzo poważnie stanowisko Polski w świecie.

Porozumienie polsko-czechosłowackie jest zawiązkiem starań o dobrą budowę przyszłą całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Jeśli miarą pracy dwuletniej Rządu jen. Sikorskiego jest to, jak dzisiaj pojmuje się sprawę Polski, przypomnijmy sobie głosy najdonioślejsze swym zasięgiem.

Prezydent Roosevelt w telegramie do Prezydenta Rzeczypospolitej z 5-go lipca 1941:

"Naród Amerykański dumny jest z przyjaźni Narodu Polskiego, a bohaterski i stanowczy opór z jakim Naród Polski w ciągu ostatnich dwóch lat walczy i poświęca się wobec ciężkich doświadczeń i ciosów jest natchnieniem nie tylko dla Narodu Stanów Zjednoczonych, lecz i dla wszystkich ludów miłujących wolność."

Winston Churchill w mowie z 25-go sierpnia 1941:

"Polacy! Bohaterstwo Waszego narodu wobec okrucieństw najeźdźcy nie będzie daremne. Waleczność Waszych żołnierzy, marynarzy i lotników nie będzie zapomniana! Wasz kraj będzie żył na nowo i zajmie należne mu miejsce w organizacji nowej Europy!"

Kardynał Hinsley w kazaniu z dnia 8-go września 1941:

"Sprawdzianem szczerości z jaką walczymy o sprawiedliwość jest nasza troska o zmartwychwstanie Polski, w nie mniejszym stopniu, przeciwnie, w wyższym nawet stopniu, aniżeli, gdy idzie o wyzwolenie jakiegokolwiek innego prześladowanego narodu."

Sztandar i imię Polski wznoszą się dzisiaj wysoko wśród burzy dziejowej.

Dorobek dwu lat Rządu jen. Sikorskiego, który rozpoczynał pracę niemal ode dna klęski, jest dzisiaj naprawdę wielki, daje otuchę na przyszłość, zachęca do dalszych najtęższych wysiłków.

Stanisław Stroński

S. O. S.

Kilka dni temu głos polskiego radia zwrócił się do swoich słuchaczy o pomoc dla Polaków w Rosji.

"Posyłajcie co tylko możecie"—wołał głos—"ubrania, koce, walizki, buty, sznurowadła, nici i igły, żyletki, papier, mydła, ołówki" "—i tak dalej szła litania rzeczy, które każdy z nas ma i o których ze zdumieniem dowiadujemy się, że ich ktoś może nie mieć. Że ich nie ma ten, co z tej samej ziemi co i my wyszedł, wszystko pozostawił za sobą i z niczym poszedł na wygnanie i więzienie prócz tej jedynej iskry nadziei, że tę ziemię znowu zobaczy. A może wśród tych dwóch lat męki i cierpień i tę nadzieję utracił.

Była w tych słowach radiowego mówcy—potworność nędzy tych, co są tej samej krwi co i my, o których przez dwa lata nie wiedzieliśmy nic, nawet czy żyją i którzy również przez te dwa lata nie tylko o nas, ale o świecie nic nie wiedzieli.

Lecz dlaczego ten głos wychodził tylko z radia? Dlaczego w całej naszej prasie i w żywym słowie nie powtarza się to wołanie stale i ciągle? Dlaczego nie idzie ono z ust do ust? Dlaczego ludzie, gdy się spotykają, nie zadają sobie pierwszego pytania—co posłałeś, co poślesz i kiedy?

Nie ma przecież domu polskiego tutaj, który by nie mógł pomóc, nie chciał—lub nie powinien. Ale trzeba przypominać, trzeba ułatwiać. A tu tymczasem ludzie muszą się dowiadywać—gdzie składać, jak, u kogo—bo przecież nie każdy głos radia słyszał. Zresztą podobno głos ten odezwał się jeden jedyny raz. Nie spotkałem nikogo, kto by to wezwanie słyszał kilka razy—natomiast wielu nie wiedziało zupełnie o nim. Gdyby to wezwanie radiowe było tylko jedyny raz, zaiste trudno by to było wytłumaczyć.

Zaczęły już płynąć ofiary. Nie wolno tego nazywać ofiarami ani darami, jest to spłacanie długu. Długu, jaki Opatrzność na nas nałożyła za to, żeśmy ocaleli, że jesteśmy w kraju wolności, w kraju, który nas przyjął z takim sercem, że zburzył wszelkie bajki o zimnym, wyrachowanym umyśle wyspiarskim, że możemy tu patrzeć na czyny naszych lotników, marynarzy i żołnierzy, słuchać o dumnej postawie naszego Kraju i żyć na tym tle nadzieją, że ujrzymy ziemię naszą.

Ci, którzy nie mają nikogo w niewoli winni to tym, co tego nie uniknęli, bo ci, których bliscy cierpieli w niewoli jednej czy drugiej — tych nakłaniać do pomocy nie potrzeba. Serce im to nakaże.

A jak my, żołnierze, na ten głos z radia odpowiedzieć mamy?

Są to nasi towarzysze broni.

Ci wszyscy, co cierpieli w ciągu tych dwóch lat czy za to, że walczyli, czy tylko za to, że byli Polakami, ci wszyscy składają się na tę wspólną ofiarę polską, która będzie jednym z tytułów naszych do wolności Polski. Może na konferencji pokojowej, kiedy zbiorą się mózgi celem narad nad przyszłością świata i będą brać na wagę argumenty rozumu, może ogrom naszej męki, może krzyk co będzie "krzykiem pokolenia" rzucony na szalę sprawiedliwości—może też zaważy. . .

A najgłośniejszy będzie ten, co się wydobędzie z tych polskich rzesz rzuconych w świat i przez dwa lata zapomnianych. To będzie ich walka, za naszą sprawę i za sprawę sprawiedliwości. Tak więc oni są kombatantami, żołnierzami, co walczyli bez broni z wytrwaniem, z wiarą w sprawiedliwość, z nadzieją wolności i z miłością Ojczyzny. Więc na wołanie o pomoc dla nich—odpowiedzieć musimy.

Nie opuszczajmy się na to, że zrobią to wielkie organizacje społeczne, dobroczynne, że zrobią to Czerwone Krzyże Polskie, Angielskie czy Amerykańskie. Nie będzie nigdy tej pomocy za dużo.

Ale nasza pomoc ma inne jeszcze znaczenie, znaczenie nie mniej wartościowe od tego, że ochraniamy ich od zimna, albowiem będzie to jeszcze objawem solidarności polskiej, oznaką braterstwa, która nas zwiąże jeszcze silniej z rzeszami naszych braci.

Więc pomóżmy im.

Wierzę, że nie będzie żołnierza, który nie da wszystkiego na co go stać, wierzę, że zgromadzimy fundusze godne naszej armii i jej wspaniałego ducha, bo to co złożymy odkładamy na większą Ojczyzny chwałę.

A zarazem z tym, co za to będzie kupione—może pójdzie lista tych, co się na to złożyli, a którzy tam mają kogoś bliskiego. Pójdą ich nazwiska, a jeśli ich nie będzie można z jakichkolwiek powodów ujawnić, pójdą ich nazwiska przybrane na podstawie wspomnień rodzinnych, tak że rodzina je pozna.

Czy zdajecie sobie sprawę ze szczęścia tamtych, gdy się dowiedzą, że tu jesteście, że żyjecie i że o nich myślicie?

Żołnierze—bracia nasi czekają bez ubrania, bez butów—a na nich czeka zima. Zima nie tutejsza, londyńska, ale — zima sroga, ciężka.

Dowódcy, oficerowie, podoficerowie, szeregowcy spełnijmy nasz obowiązek od pensa do funtów. Spełnijmy go szybko i godnie. A przede wszystkim—zaraz, natychmiast, w tej chwili.

Czy słyszycie ten ponury głos—"przyślijcie ubrania, koce, buty, nici. . ."—czy nie idzie zimno od tych słów, czy nie widzicie tej nędzy, co z tych słów wieje i czy nie czujecie zbliżającej się zimy?

Pomocy—dla naszych braci—pomocy!

St.Sz.

Szkic sytuacyjny

FRONT NA KAUKAZIE

Pisma angielskie ujawniły niedawno fakt, że gen. Wavell, wysłany swojego czasu do Indii, zjawił się na dni parę w Londynie. Od chwili mianowania Gen. Wavella na głównodowodzącego siłami W. Brytanni w Indiach było rzeczą jasną że ten wybitny strateg i najlepszy bodaj wojskowy—albowiem zdolności jego przeszły próbę ognia—jakiego Anglia posiada, nie będzie siedział w Indiach bezczynnie. Dzisiaj pisma angielskie mówią co raz częściej o stworzeniu *wspólnego frontu anglo-sowieckiego na Kaukazie.*

Wiadomość ta przyjęta zostanie przez wszystkich z zadowoleniem. Okupacja anglo-sowiecka Persji była oczywiście wstępem do dalszej wspólnej akcji. Jest rzeczą jasną, że Sowiety chciałyby użyć swoich doskonałych dywizji kaukaskich na froncie walki i że pragnęłyby, ażeby zabezpieczenie Kaukazu było jak najlepsze. Ropa perska jest w rękach sprzymierzonych, ale *nie można pozwolić na to, ażeby Niemcy położyli rękę na ropie kaukaskiej.*

Nie wiemy narazie jak będzie postawiona obrona Kaukazu. Nie wiemy, w jakiej sile zjawią się tam Anglicy. Atak niemiecki na Krym *nakazuje pośpiech,* albowiem odległość z Krymu na Kaukaz nie jest wielka. Sądzić należy, że zajęcie Krymu przez wojska niemieckie—przy czym sądzić trzeba, że potężny bastion *Sebastopolu* ma szanse długiego wytrzymania—może być hasłem do jakiejś *akcji niemieckiej przez Turcję.* Dlatego obrona Kaukazu musi być zorganizowana pośpiesznie.

Nie wiemy jeszcze, czy wojska polskie—jak to raportują niektóre pisma angielskie—znajdą się na Kaukazie. Armia polska w Rosji powstaje i rozbudowuje się. Nie byłoby rzeczą dziwną, gdyby armia ta, wraz z oddziałami czeskimi i jugosłowiańskimi, które także stawia się obecnie na nogi w Rosji, zjawiła się na Kaukazie, który od wieków jest symbolem *walk o wolność,* symbolem prometejskim.

OPÓR ROSJI KRZEPNIE

Nowe uderzenia niemieckie nie przyniosły spodziewanych owoców. Próba spadochroniarska na *Krymie*—gdzie przypuszczalnie Niemcy tworzyli lokalną przewagę powietrzną—nie powiodła się. *Leningrad* odpiera ataki. *Odessa* trzyma się i odrzuca nieprzyjaciela. Na odcinku środkowym *Timoszenko* spisuje się *doskonale.* Na froncie arktycznym walczą aparaty *RAF 'u.* Zasilanie Rosji maszynami i czołgami przybiera na sile. Produkcja czołgów w "tygodniu czołgów dla Rosji" przekroczyła spodziewania.

Pomoc płynie co raz wydatniej. Z Waszyngtonu donoszą, że Roosevelt zamierza oddać *całą trzymiesięczną produkcję* wojenną Stanów do dyspozycji Anglii i Rosji; przez takie posunięcie USA chce umożliwić Anglii *akcje ofensywne.* Jeżeli by wiadomość ta sprawdziła się, było by to posunięcie słuszne i godne pochwały.

Pośpiech jest wskazany, co to!—pośpiech jest konieczny.

Zdawna bowiem już przyjąć się powinna była teza, twarda prawda, że *czas pracuje na tego, kto pracuje.* Czekaniem jeszcze nikt wojny nie wygrał—co więcej, jest to najlepsza recepta na jej przegranie.

POMOC, POMOC I RAZ JESZCZE POMOC.

Rosja otrzymać musi pomoc na największą możliwie skalę, do ostatnich granic. Nie ma tu żadnego tłumaczenia się, nie może być tutaj żadnego *wahania.* Front sowiecki jest kartą, która nie może się wysunąć z naszych rąk. Jest to *dar z nieba,* którego zmarnotrawienie byłoby grzechem najbardziej śmiertelnym.

Dlatego dobrze jest, że wojska brytyjskie pójdą na Kaukaz, dlatego słuszne jest, ażeby pomoc RAF'u na miejscu, w Rosji wzmagała się, ażeby zasilano wszelkimi sposobami front północny, arktyczny. Wszystko co Rosję wspomaga, odciąża nacisk wroga, jest dobre, wskazane,—wszystko co ją osłabia, rozprasza jej siły, wzmaga w niej uczucie osamotnienia, jest *złe i zgubne.*

Przywódca Niemców słowackich Karmazyn, powiedział niedawno, że każda matka niemiecka mająca syna w armii Rzeszy, musi być przygotowana na ofiary. Dowodzi to, że *Niemcy liczą się z poważnymi stratami.* Rozmiar tych strat nie jest oczywiście dzisiaj wiadomy. Jeśli przyjąć, że Rzesza wciągnęła do akcji w Rosji jakieś 5 milionów żołnierza—poza półmilionową armią rumuńską, węgierską, słowacką i "legionami antykomunistycznymi"—to określanie wysokości strat niemieckich na 3 miliony zabitych i rannych wydaje się przesadne. Gdyby tak było, to można by być spokojnym o wynik kampanii na wschodzie. Dwoma czy trzema milionami wojsk—zważywszy, że Rzesza ściąga co raz wyraźniej wojska z Francji, Holandji itd—*nie można by prowadzić działań w Rosji.*

Wydaje się, że straty niemieckie obracają się w granicach 1,500.000. Przy przeciąganiu się operacji do wiosny 1942 straty te *mogą dojść do 3 milionów. Chodzi o to, ażeby doszły.* Do tego zaś potrzeba ustawicznego bicia w armię niemiecką, ustawicznego oporu, kontrataków, wojny podjazdowej, czyli utrzymania siły bitewnej armii sowieckiej.

OFENSYWA POKOJOWA?

Marszałek Pétain oświadczył przedstawicielowi jednej z ajencji, że zawsze gotów jest pośredniczyć w zawarciu jakiegoś układu z Rzeszą. Apel ten skierował wiekowy marszałek *do Ameryki.* Dowodzi to, że Rzesza już sobie zapewnia *pośredników.*

Dla każdego kto obserwuje bieg tej wojny jest rzeczą jasną, że po każdym pchnięciu niemieckim przychodzi pauza, wypełniona ofensywą pokojową, w której cieniu Rzesza przygotowuje nową agresję. Nic więc dziwnego, że obecnie już Berlin smaży swoją pieczeń, i że przypuści atak natury pokojowej w zimie tego roku i na wiosnę roku przyszłego.

Atak ten *musi być odparty na całej linii, energicznie, stanowczo.* Wszelkie pokusy tego rodzaju muszą być odrzucone. Było by dobrze, gdyby raz na zawsze znikły złudzenia co do Niemiec, ich zamiarów i siły, ażeby nie wlokły się dyskusje na temat "dobrych Niemców" i "złych hitlerowców." Wielokrotnie w czasach ostatnich napotykamy na łamach prasy angielskiej odgrzewane, stare złudzenia i bajeczki, przepędzone swojego czasu tak skutecznie przez bomby niemieckie. Ponieważ jednak od maja b.r. nie spadają te bomby na Londyn, podnosi głowę *stara zmora łudzenia się,* optymistycznych bajek, zastanawiania się, czy może jednak ci Niemcy nie są tacy źli jak się myślało. . .

Pauza, którą nam zawiesiła nad głową Rzesza niemiecka, nie może być okresem odrodzenia się złudzeń. Albowiem złudzenia są *najkosztowniejszym lekiem na świecie,* haszyszem, który może sparaliżować ośrodki woli, myślenia, działania.

Londyn, 29 września, 1941.

Zbigniew Grabowski

WRZESIEŃ

Rozstanie bez pożegnania,
Łza nigdy niewypłakana . . .
Rozmowa, urwana w pół zdania—
I czyjaś twarz zapomniana . . .
Wrzesień.

Ziemia śmiertelnie raniona
Ziemia śmiertelnie zorana . . .
Płacze wierzbami i ona—
W słońcu jesiennym skąpana,
Wrzesień.

Szumi leszczyną nad rzeką
I babie lato już przędzie . . .
Hej, oczy od płaczu pieką.
Chodzi jak cień, chodzi wszędzie—
Wrzesień.

Jesienią się liście rumienią,
Wiatr krąży smutnie po łanach,
Znaczyli te pola czerwienią . . .
Bieleją kości w kurhanach—
Wrzesień.

Wrzosy i macierzanki
Już drugi rok, drugą jesień
Czekają wieczorem i rankiem . . .
Lecz cisza na drodze i w lesie—
Wrzesień.

Wiktor Budzyński

Swastyka nad Argentyną

Pucz argentyński się nie udał. Urzędowo co prawda oświadczają w Buenos Ayres, że nic poważnego się nie stało, tym nie mniej jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że 23 i 24 września podjęto próbę rewolucyjną zdławioną w zarodku. Faktem jest, że w nocy z dnia 23 na 24 nagle zmieniono dowództwo lotniska w Paranie, które objął osobiście pułkownik Gassi, dowódca wojskowy prowincji, faktem jest, że w szkole lotniczej w Cordobie był bunt uczniów, faktem jest, że szereg wyższych oficerów zostało zaaresztowanych.

I nietrudno jest powiązać te fakty z niedawnym zaaresztowaniem jednego z wodzów armii argentyńskiej jenerała Menendeza, które nastąpiło po ogłoszeniu przez niego w piśmie proniemieckim "Pampero" gwałtownego ataku na elementy antynazistowskie w Argentynie, ani tym bardziej z ostatnią uchwałą parlamentu argentyńskiego, żądającą odwołania posła niemieckiego w Buenos Ayres, Thermanna, uchwałą, która wywołała w prasie Goebbelsa istny szał inwektyw i gróźb pod adresem Argentyny.

Pucz nieudany nie był wybrykiem, był on—miejmy nadzieję—końcowym ogniwem akcji zakreślonej na szeroką skalę, mającej na celu opanowanie Argentyny przez elementy nazistowskie i stworzenie z tego kraju bazy dla osi.

Wiadomo, że Argentyna jest co do wielkości i liczby ludności drugim państwem na półkuli południowo-amerykańskiej. Terytorium jej obejmuje 1,112,743 mil kwadratowych, ludność sięga 13,000,000. Rządy Argentyny nie są demokratyczne w znaczeniu europejskim, raczej należało by je nazwać autorytatywnymi. W porównaniu jednak z innymi państwami Ameryki Łacińskiej Argentyna jest po Meksyku i Kolumbii państwem może najbardziej demokratycznym. Istnieje tam wolność prasy—wielkie dzienniki Buenos Ayres "La Nacion" i "La Prensa" wytrzymują konkurencję z najpoważniejszymi pismami Stanów Zjednoczonych—istnieje swoboda ruchu robotniczego i argentyńskie związki zawodowe odgrywają poważną rolę.

Niemców w Argentynie jest 250,000, większość ich mieszka w zwartym bloku w prowincjach Misiones i Parana. Mieli oni swe szkoły i swe organizacje, swe pisma, które bez wyjątku prawie po objęciu władzy przez Hitlera stały się placówkami nacjonal-socjalistycznymi.

Rząd argentyński mało się tą działalnością niemiecką przejmował. Polityka argentyńska nastawiona była na jedno niebezpieczeństwo: niebezpieczeństwo przewagi Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej na kontynencie południowo-amerykańskim, które by mogło podważyć tę rolę leadera Ameryki Południowej, która zawsze była ambicją mężów stanu Argentyny. Dlatego też na konferencjach panamerykańskich Argentyna stale sprzeciwiała się jakiemukolwiek mocniejszemu zespoleniu obu Ameryk, dlatego przywiązywała wielkie znaczenie do Ligi Narodów, gdzie pod nieobecność Stanów Zjednoczonych i Brazylii—obok Meksyku była ona czynnikiem decydującym w sprawach amerykańskich. Gdy w roku 1937 zarysowało się wyraźnie niebezpieczeństwo opanowania Brazylii przez koalicję nazi-faszystowską, przy czym nie było wykluczone, że Włochy i Niemcy czynnie pomogą sprzysiężonym—sprzeciw Argentyny uniemożliwił odstąpienie przez Stany Zjednoczone Brazylii okrętów wojennych.

Elementy faszystowskie w Argentynie obsadziły szereg pozycji kluczowych. Gubernator stanu Buenos Ayres, Manuel Fresco, otwarcie oświadczał przed wojną, że Hitler i Mussolini są zbawcami Europy, szef lotnictwa argentyńskiego jenerał Armando Vendaquez był przyjacielem Goeringa i gościł u niego w roku 1938, w armii był szereg instruktorów niemieckich i oficerów zupełnie poddanych ich wpływowi.

Ministrowie spraw zagranicznych Argentyny natomist, zarówno Saavedra Lamas, jak następca jego Cantilo, jak wreszcie obecny minister Ruiz Guinazu byli szczerymi demokratami i zupełnie wyraźnie rozumieli niebezpieczeństwo grożące krajom amerykańskim ze strony totalizmów.

Od chwili wybuchu wojny było jasne dla ludzi trzeźwo patrzących, że Niemcy i Włosi w krajach południowo-amerykańskich łącznie z miejscowymi totalistami stanowią stałe, groźne niebezpieczeństwo, że każdej chwili mogą spróbować opanowania rządów i utworzenia nowych baz dla osi. Mimo to jednak przez pierwsze dwa lata wojny patrzono przez palce na ich działalność. Oczywiście fakt, że faszyści opanowali szereg kluczowych pozycji odegrał tu swoją rolę.

W połowie 1941 roku sytuacja jednak się zmieniła. W Argentynie parlament utworzył komisję dla badania działalności nazich argentyńskich i ich przyjaciół. W ręce tej komisji wpadła w lipcu 1941 tajna instrukcja dla ajentów nacjonal-socjalistycznych w Ameryce Południowej Z instrukcji tej wynikało jasno, że zarówno nieudany pucz w Boliwii, jak i walki pograniczne między Peru i Equadorem, które omal nie doprowadziły do wojny, były dziełem niemieckim.

29 lipca t.r. Martin Dies, prezes komisji badającej działalności obce w Stanach Zjednoczonych oświadczył publicznie, że podług jego wiadomości Niemcy mają w Południowej Ameryce milion gotowego żołnierza i wśród krajów bezpośrednio zagrożonych wymienił Argentynę. W końcu lipca argentyński komitet parlamentu przeprowadził rewizję w niemieckiej lidze opieki społecznej i kultury, niemieckim towarzystwie opieki społecznej, federacji lig niemieckich opieki społecznej oraz kultury i w niemieckim instytucie pomocy znalazł dokumenty stwierdzające, że instytucje te były jedynie zakamuflowanymi ekspozyturami partii nacjonal-socjalistycznej. Jednocześnie została przeprowadzona rewizja i w poselstwie niemieckim, mimo jego eksterytorialności.

Wkrótce potem nowe materiały zostały dostarczone rządowi argentyńskiemu przez rząd brytyjski. Znaleziono je w poczcie okrętu niemieckiego "Erlanger," zatrzymanego przez flotę brytyjską. W odpowiedzi rząd argentyński zabronił przesyłania przez pocztę faszystowskiego materjału propagandowego i zdławił w zarodku powstanie, przygotowywane w prowincji Ehtre Rios. Rozwiązano też argentyńskie organizacje faszystowskie: Radę Naczelną nacjonalizmu argentyńskiego, na której czele stał jenerał Juan Baptiste Molinas i inne pomniejsze. Klub niemiecki "Teutonia" został również zamknięty.

Rząd niemiecki nie reagował. Nawet gdy w bagażu posła niemieckiego znaleziono i skonfiskowano nadawczy aparat radiowy p. Thermann nie protestował i złożył nadto deklarację, że agitacja nacjonal-socjalistyczna ulegnie zawieszeniu. Obietnicy oczywiście nie dotrzymał. 10 sierpnia w ładunku japońskiego okrętu "Nana Maru" znaleziono przesyłki wagi 83 kilo adresowane do poselstwa niemieckiego w Buenos Ayres i zawierające literaturę propagandową.

W tych samych dniach odkryto tajny cyrkularz nazistowski stwierdzający, że nie ma się czego obawiać, albowiem Senat argentyński skutecznie wykastruje wszystkie ustawy antynazistowskie, które by Izba Deputowanych uchwaliła. Opublikowanie tej instrukcji miało ten skutek, że Senat ze swej strony wyłonił komisję analogiczną, do komisji Izby Deputowanych, której niestrudzenie przewodniczy antinazi numer 1: Paul Domate Taborda.

Wreszcie argentyńska Izba Deputowanych postanowiła żądać wydalenia z Argentyny posła niemieckiego, Thermanna, którego rękę odnalazło się we wszystkich spiskach.

Partia niemiecka była oczywiście przegrana. Dla Berlina stało się jasne, że rząd argentyński ma się na baczności, że nie da się Argentyny opanować bez walki. To też od razu nastąpił przede wszystkim atak propagandowy w prasie, a potem próba puczu i uchwycenia władzy.

I to zostało przegrane. Pucz zdławiono. Niewątpliwie czujność władz argentyńskich jeszcze się powiększy. Równie niewątpliwie jednak nie powstrzyma to dalszej działalności niemieckiej. Akcję o pochwycenie baz w Ameryce Południowej i Centralnej trzeba będzie nadal bacznie śledzić. Jest to jeszcze jeden teren wojenny.

Michał Prozor

Dostęp do Rosji

II. Drogi od południa i od wschodu*

POŻĄDANE PRZESZKODY

Przyroda na równi z człowiekiem ponosi odpowiedzialność za brak dostępu do Rosji od strony południowej. Potężne pasmo Kaukazu, pustynne wyżyny Iranu oraz Afganistanu i niewiele gęściej od nich zaludnione stepy Turkmeńskie, spiętrzone turnie pasm Hindukusz, Pamiru i Himalajów składają się na strefę przeszkód naturalnych, nieporównanie skuteczniejszych od jakichkolwiek sztucznych zapór linii Maginota, Siegfrieda i Stalina, razem wziętych. Dodajmy, że słabo rozwinięte, zacofane plemiona mieszkańców tej strefy uczyniły niewiele dla jej udostępnienia.

Nie brak wszakże przykładów pokonywania tego rodzaju przeszkód przyrodniczych przez nowoczesny rozwój techniczny. Czemuż w tym wypadku zawiódł zwycięski pochód pionierski białego człowieka? Czy bogactwa naturalne tych krajów nie usprawiedliwiają większego wkładu dla ich udostępnienia, czy lądowa droga na Daleki Wschód, od najdawniejszych czasów wydeptywana stopami karawan, nie zasługiwała na unowocześnienie jej szlaków?

Odpowiedź na te pytania jest łatwa, gdy tylko nie pozwolimy na to, by odmienne potrzeby chwili obecnej, powiedzmy od razu, chwili ostatniej, przesłaniały nam bardziej długofalowe procesy historyczne.

Droga do Rosji od południa, to równocześnie droga z Rosji na południe, a więc do krajów arabskich, do Oceanu Indyjskiego, do Indii. Wielka Brytania, jako mocarstwo o pierwszoplanowych zainteresowaniach w tej strefie, nie odczuwała dotychczas potrzeby ułatwiania tą drogą kontaktu z olbrzymem rosyjskim. Przeciwnie, trzeba stwierdzić, że Iran i Afganistan posiadają w wysokim stopniu cechy państw buforowych, co między innymi tłumaczy brak silniejszej inicjatywy obcej w podniesieniu ich rozwoju, a co zatem idzie, komunikacji.

Sowiecka kolej zakaspijska przebiega kusząco blisko północnej granicy Iranu, a jej odnogi w stronę granicy afganistańskiej do Kuszki, Samsonowa i Stalinabadu to jakby ramiona tęsknie wyciągnięte w stronę 500 mil odległych wylotów kolei beludżystańskiej. Jedne i drugie kończą się ślepo na granicy Afganistanu. Czy istotnie teren tego kraju nie pozwala na przerzucenie pomostu linii kolejowej? Czy też może sprzeciw mocarstwowy Afganistanu uniemożliwił to spotkanie dwóch wielkich sąsiadów?

Gdyby można w ogóle mieć w tej mierze jakiekolwiek wątpliwości to wystarczy uświadomić sobie, że twórcy tych kolei, jak gdyby stworzonych do połączenia się, tak mało zdawali się przywiązywać wagi do tej możliwości, że nie uzgodnili nawet rozpiętości torów, które znacznie się różnią. Dziwnym trafem ten sam objaw można stwierdzić w odniesieniu do linii kolejowej łączącej Turcję z Kaukazem, której ostatni odcinek koło Erzerum po stronie tureckiej jest wąskotorowy, w przeciwstawieniu do rosyjskiego przedłużenia linii.

Wszystko to oczywiście nie jest przypadkiem. Linie kolejowe rosyjskie w tych stronach zostały stworzone w równej mierze dla celów gospodarczych co strategicznych. Z obu punktów widzenia wywołały też niepokój sąsiadów. Północno-zachodni kąt Iranu ze stolicą Tabriz /starodawnym Tauris Marco Pola/ wyraźnie ciąży gospodarczo w stronę Aserbejdżanu sowieckiego. Z nim także, a nie z wnętrzem własnego państwa posiada połączenie kolejowe. Podobnie bliskie węzły łączą z pograniczem rosyjskim przyległe części Turcji i Afganistanu. Rosja zaś, nawet w ostatnim okresie zamknięcia się w sobie, w okresie niewinnego na pozór urzeczywistniania zasady "socjalizmu w jednym państwie" nie wykazywała na swym pograniczu południowym braku zapału do ekspansji. Wystarczy wskazać na przykład opanowanych przez wpływy sowieckie, nominalnie do Chin należących, prowincji Sinkiang i Mongolii zewnętrznej.

Z niebezpieczeństwa tych sąsiedzkich zainteresowań Sowietów zdawały sobie sprawę zarówno państwa bezpośrednio narażone, jak i osłonięte przez nie Imperium Brytyjskie. W jednym tylko miejscu na świecie Imperium to posiada wspólną granicę lądową ze Związkiem Sowieckim i to właśnie w najbardziej niedostępnych górach Pamiru, na legendarnym "dachu świata" przez który w żaden sposób przejść, a już tym bardziej przejechać nie można.

W pozostałych, łatwiejszych do przebycia, częściach tej strefy "buforowej" Rosja i Anglia mogą się spotykać, mogą nawet współdziałać, jak się działo w ostatniej i dzieje w obecnej wojnie światowej. Nie zmienia to faktu, że opisywana w prasie ostatnich dni idylla tego współdziałania, spotkanie na terenie Iranu indyjskich sikhów z armią komisarzy, jest dokładnym przeciwieństwem tego, czego Wielka Brytania pragnie na codzień.

Stąd brak zachęty i podniety do wcześniejszego stworzenia tych ułatwień komunikacyjnych, o które dziś woła wielkim głosem potrzeba pomocy dla Rosji.

POSZCZEGÓLNE ROZWIĄZANIA

Trzeba właściwie rozpocząć od Turcji, jako niewmieszanej jeszcze w wojnę. Jak już wspomniano, fakt zajmowania przez siły zbrojne osi nie tylko Dodekanezu, ale także pozostałych wysp Morza Egejskiego w praktyce niemal przekreśla możliwość kierowania transportów morskich na Morze Czarne. Gdyby nawet Turcja zgodziła się otworzyć na ten cel cieśniny i gdyby mogła to uczynić, nie tracąc cieśnin w krótkim czasie po takiej decyzji, przepływanie konwojów przez archipelag wysp było by zadaniem nadmiernie trudnym. Nieprzyjaciel posiada bazy morskie i powietrzne na przestrzeni tak długiej, że nawet szybki konwój nie przebędzie jej w czasie jednej nocy, co musi przynieść za sobą straty tak wielkie, że używalność tej drogi uznać trzeba za praktycznie żadną lub niewielką.

Jeżeli zresztą już raz przyjmiemy, iż Turcja ulegnie żądaniom Aliantów, to nie ma przeszkód, aby wziąć pod uwagę drogę kolejową przez wschodnią Anatolię. Po wyładowaniu na Morzu Śródziemnym w rejonie Aleksandretty transporty mogłyby iść koleją bezpośrednia na Kaukaz. Przeszkodą byłby tu jedynie słaby stan kolei tureckich oraz wspomniane już różnice w rozpiętości torów.

Posiadanie Iraku nie daje bezpośrednich korzyści komunikacyjnych, gdyż kraj ten z Rosją nie graniczy. Ułatwia jednak wyjście na drogi perskie przez Kermanshah; tą drogą właśnie oddziały brytyjskie pośpieszyły na spotkanie wojsk sowieckich.

Ostatnie wydarzenia w Iranie nie mogły być niespodzianką dla nikogo patrzącego realnie na sprawy obecnej wojny. Najwyżej można było dziwić się, że wydarzenia te przyszły tak późno.

Tabriz nie od wczoraj jest przedmiotem zainteresowania Rosji sowieckiej i to nie tylko dlatego, że miasto to stanowi główne centrum handlowe kraju, ale także i z tego powodu, że okolice jego zamieszkują plemiona, które pod przewodnictwem wrogiego mocarstwa mogłyby łatwo stać się narzędziem powstania przeciw sowieckim republikom zakaukazkim.

Południowa część kraju natomiast jest domeną interesów angielskich. Tutaj leżą ogromne pola naftowe spółki anglo-irańskiej, a Zatoka Perska jest ważną częścią szlaku do Indii. Co prawda, wobec nie najlepszych stosunków Iranu z W. Brytanią już przed wojną obecną, linie lotnicze brytyjskie—w przeciwieństwie do holenderskich—nie idą brzegiem perskim, lecz po przeciwnej stronie zatoki nad terytorium mniej lub więcej przez Anglików opanowanych państewek arabskich.

W ten sposób Rosja i W. Brytania, w chwili zagrożenia ich interesów przez trzecią potęgę, zajęły tereny posiadające dla nich znaczenie istotne. Nie to jednak było główną przyczyną akcji aliantów w Iranie. Było nią niewątpliwie zapewnienie tych "ułatwień komunikacyjnych," o których skromnie wspomina jeden z dalszych warunków zawieszenia broni z Iranem.

Z grubsza rzecz biorąc, istnieją trzy możliwości komunikacji tranzytowej przez Iran: 1/ droga kołowa Bsra-Kermanshah-Hamadan-Tabriz, a stąd koleją do Rosji; 2/ kolej z Bandar Schahpur nad Zatoką Perską do Bandar Schah nad Morzem Kaspijskim, a stąd statkami do Baku, Krasnowodzka lub ujścia Wołgi, 3/ kombinacja obu tych możliwości, polegająca na użyciu kolei do Teheranu, drogi kołowej do Tabriz a stąd koleją j.w.

Odnośnie pierwszej z wymienionych dróg, trudno zgodzić się z tymi głosami, które upatrują w niej podobieństwo ze słynną już dziś drogą burmańską, przez którą odbywa się zaopatrywanie Chin. Pomijając już stan dróg w Iranie, szlak ten, zwłaszcza na odcinku Kermanschah-Hamadan może być w ciągu zimy zamknięty przez śniegi. To samo w pewnym stopniu odnosi się do drogi z Teheranu do Tabriz. W obu wypadkach zresztą drogi te wymagają ulepszeń, a ulepszenia—czasu.

Dlatego uwaga skupia się na kolei łączącej Zatokę Perską z Morzem Kaspijskim. Ta nowa linia długości ponad 800 mil, przeprowadzona w trudnym terenie, była dotychczas dumą Iranu i jego ambitnego władcy, Rezy Szacha, który wzorem Kemala Paszy pragnął unowocześnić swój kraj. Ale, że dobrodziejstwa cywilizacji europejskiej idą zwykle w parze z niespodziankami nieoczekiwanymi przez jej adeptów, więc też nowa kolej oprócz kupców, dla których była przeznaczona, sprowadziła krajowi na kark mniej proszonych gości. Uchylenie bramy wejściowej do Iranu, ułatwienie wstępu do wnętrza kraju—zwiększyło równocześnie dość znacznie przeciąg polityczny w tych stronach i przyczyniło się do tego, że imiona miast jak Hamadan, Tabriz, Kerman i inne przyjemnie dotychczas dźwięczące dla miłośników wspaniałych dywanów, biorących z miast tych początek i nazwy, pojawiły się nagle w tekstach komunikatów wojennych i nabrały niezwykłego dla siebie strategicznego waloru!

Przy rozważaniu możliwości transportowych omawianych dróg trzeba wreszcie uwzględnić także ilość koniecznych w każdym wypadku przeładunków ze statku na kolej, z kolei na samochód i z powrotem na kolej lub statek oraz stan urządzeń przeładunkowych w danych punktach. Z tego punktu widzenia wspomniana kolej, nawiasem mówiąc jednotorowa, posiada duże braki.

Niestety, jej końcowy punkt nad Morzem Kaspijskim jest—o ile wiadomo—portem nie bardzo jeszcze rozbudowanym, podczas gdy największy perski port kaspijski Pahlevi, nie ma właśnie połączenia kolejowego. Skierowanie tą drogą poważniejszych transportów będzie zatem wymagało niewątpliwie znacznych wkładów, które zresztą po wojnie pozostaną jako naturalne odszkodowanie dla mieszkańców za wciągnięcie ich w krąg cudzych rozgrywek.

WZDŁUŻ SYBERII

Transport morzem do Władywostoku i koleją transsyberyjską wzdłuż Syberii jest znany i nie ma powodu bliżej go omawiać. Z uwagi na położenie Władywostoku droga ta jest dogodna dla transportów wychodzących z wybrzeży zachodnich Ameryki, niedogodna dla dóbr produkowanych u wybrzeży wschodnich lub też na wyspach brytyjskich. Silne strony tego szlaku, to nowoczesny port przeładowczy i porządna kolej; słabe strony wynikają z długości trasy. Tą drogą zresztą szły, jak się zdaje, w pierwszym okresie obecnej wojny, większe transporty przeznaczone dla Niemiec.

Przystąpienie Japonii do wojny przerwie tę komunikację przez blokadę Władywostoku przez flotę japońską a zapewne też wskutek natarcia armii japońskiej z Mandżukuo. Świadomość tych niebezpieczeństw zrodziła dążenie Sowietów do zapewnienia samowystarczalności armii Dalekiego Wschodu oraz szukanie zastępczych możliwości komunikacyjnych w dziedzinie lotnictwa.

Trzeba tu powrócić do sprawy rozwoju Syberii północnej, której kluczową rolę podkreśliłem już poprzednio. Stacje radiowo-meteorologiczne i lotniska pośrednie w Syberii północnej umożliwiają przelot nad tym krajem po trasie położonej daleko na północy. Jest ona krótsza o jakieś dwieście mil od trasy nad torem kolei i leży poza zasięgiem lotnictwa nieprzyjacielskiego z Mandżukuo. Pierwszego przelotu tą drogą dokonali lotnicy sowieccy w roku 1936, ustanawiając wtedy czas Moskwa-Władywostok 56 i pół godzin lotu.

W tym samym roku Lewandowski i Lewczenko przelecieli na samolocie produkcji amerykańskiej ponad cieśniną Beryngą, Kamczatką i Syberią. Te pionierskie osiągnięcia otworzyły możliwości, które dziś mogą okazać się decydujące dla losów wojny.

PERSPEKTYWY BLIŻSZE I DALSZE

Jak widać z tego krótkiego przeglądu dróg dostępu do Rosji, drogi te istnieją i będą istniały nadal, nawet gdyby szlak morski i lądowy od wschodu miał zostać zamknięty ścianą nowego frontu. Pozostanie wtedy droga lotnicza ze wschodu, pozostanie dostęp od północy i od południa. Gigantyczne trudności stwarzane na tych szlakach przez przyrodę wymagają wysiłków na miarę gigantów. Zostały one już podjęte, od bardzo niedawnego czasu, gdy chodzi o północ, nie zostały podjęte na większą skalę przed wojną obecną na południu, z powodu innego układu sił politycznych.

Koniunktura polityczna bywa zmienna i krótkotrwała. Gdy prowadzi do dzieł i budowli zakrojonych na większą miarę mimo, iż stworzonych dla potrzeb chwili obecnej, może wywołać skutki, które okażą się mniej przemijające. Udostępnienie dla komunikacji terenów dotychczas mniej lub więcej zamkniętych, stworzy nowe szanse rozwoju dla zaniedbanej ludności tych ziem. Dla mieszkańców Iranu czy Afganistanu, dla plemion Syberii północnej stworzenie nowych szlaków komunikacyjnych może stać się zadatkiem lepszej przyszłości.

Dla przyszłości Rosji otwarcie i rozwój nowych dróg będzie mieć znaczenie zupełnie nieobliczalne. Zbliży Rosję do świata a świat do Rosji, pogłębiając tym rozwój zapoczątkowany dość brutalnie w dniu 22 czerwca 1941 roku.

Gustaw Gazda

*Por. część pierwszą: "Drogi północne," druk. w nr. 36 "Polski Walczącej."

O Anglii i Anglikach

ZMIENNE OBLICZE LONDYNU — LONDYN SPALONY I ODBUDOWANY — POLSKA KSIĄŻKA O LONDYNIE — WĘDRÓWKA PRZEDWOJENNA.

Polacy, którzy przebywają obecnie w Anglii znają przeważnie Londyn powojenny. Wielu z nich poznało Londyn po okresie bombardowań powietrznych, Londyn wyszczerbiony i wyniszczony. Wielu z nich nie zdążyło zobaczyć licznych pamiątek Londynu; zostały one pożarte płomieniami pożarów.

Jak wiadomo, Londyn już raz zniszczony został żywiołem pożaru w r. 1666. Londyn średniowieczny spalony został na wielkiej przestrzeni, a na jego miejscu dźwignął się nowy Londyn, którego symbolem jest katedra św. Pawła. Wzniesiona przez Krzysztofa Wrena, największego bodaj geniusza architektury angielskiej w dobie nowoczesnej—posiadał on ambitne plany zupełnej odbudowy Londynu—króluje nad miastem kopuła katedry, jakby wyzwanie i odpowiedź rzucone katedrze św. Piotra w Rzymie.

Dr. Wren nie przebudował Londynu jak zamierzał i jak chciał. Dzisiaj młodzi architekci angielscy podnoszą głosy, ażeby po wojnie odbudować Londyn z gruntu i uczciwie, ażeby zrobić z niego miasto nowoczesne. Młodzi architekci Anglii mówią, że po wojnie nadejdzie ich czas.

Nie wiemy, czy się tak stanie w istocie, albowiem trzeba się liczyć zawsze w Anglii z dużymi oporami środowiska, tradycji, przywiązania. Nie wiadomo, czy nie będzie silna dążność odbudowy pewnych zabytków, n.p. niektórych zniszczonych partii City.

Ale już dzisiaj powiedzieć można, że Londyn powojenny pójdzie szlakiem amerykanizacji, którą wskazały już owe *blocks of flats*, owe wielkie bloki mieszkalne rozsiadłe dzisiaj nietylko na *Park Lane* ale i w *Westminster*, ale i koło *Marble Arch* i wokoło *Regents Park*. Londyn wyrośnie do góry. Nie będą to jeszcze drapacze, albowiem Londyn nie posiada podstawy granitowej *Manhattanu*, ale w każdym razie potężne gmachy, szersze, niż drapacze i bardzo pojemne.

Nowy Londyn będzie miastem amerykańskim.

* * *

O kolejach Londynu opowiada nam ciekawie doskonała w każdym calu książka, jaka się pojawiła niedawno: *Bolesława Leitgebra: Londyn, oblicze i maska* /Kolin, 1941/. Książka ta miała pojawić się przed wojną w Poznaniu—autor jej przez lata był korespondentem "*Kuriera Poznańskiego*," na przód z Berlina a potem z Londynu. Książka Leitgebera jest ilustrowana rysunkami autora, który nie tylko para się piórem, ale także i pędzlem.

Książka Leitgebera jest właśnie cenna dzisiaj, kiedy na naszych oczach niszczeje największe miasto świata i centrum Imperium Brytyjskiego. Na temat tego miasta było i będzie stale wiele sporów: czy Londyn jest ładny, czy brzydki, czy można się do niego przywiązać i t.d.? Faktem pozostaje, że Londyn ma swoją siłę atrakcji i swój urok, że jest potężnym rynkiem i że jest miastem mającym duszę. Przekonaliśmy się o tym najlepiej w czasie tej zimy. Londyn ma duszę bohaterską pod swoim uśmiechem, pod swoją uprzejmością, humorem i żartem.

Książka Bolesława Leitgebera prowadzi nas w Londyn przedwojenny, który jeszcze nie musiał pokazać swoich zalet heroizmu, w Londyn barwny i huczny. Doskonale tłumaczy nam jego książka rozwój tego miasta, powstanie dzielnic, narastanie architektury. Nawet dla człowieka, który zna Londyn nie od dzisiaj, książka Leitgebera przynosi materiał nader ciekawy, podany ze znawstwem, dobrze udokumentowany. Widać, że oko artysty pomogło autorowi odkryć wiele rzeczy, na które przeciętny turysta nie zwraca uwagi.

W sumie książka Leitgebera jest wybitnie na czasie, jest doskonałym wkładem do naszej polskiej "wiedzy o Anglii," którą budujemy na tej ziemi mozolnie i powoli. Nie jest to takie łatwe, albowiem ilość tych, co Anglię znają, jest skromna. Leitgeber należy do ludzi znających Anglię nie od dzisiaj i to pod kątami, które Polaków nie zawsze pociągają /jesteśmy narodem wietrzącym wszędzie za polityką/. Książka jego jest polecenia godna i napewno zyska sobie uznanie.

Antoni Jawnuta

Czwarta nagroda w konkursie fotograficznym "Polski Walczącej"

Jan Olgierd Bożenko: Życie sapera



Saper nigdy nie traci równowagi



Saper-Generał przy pracy



Saper nigdy nie zamoknie



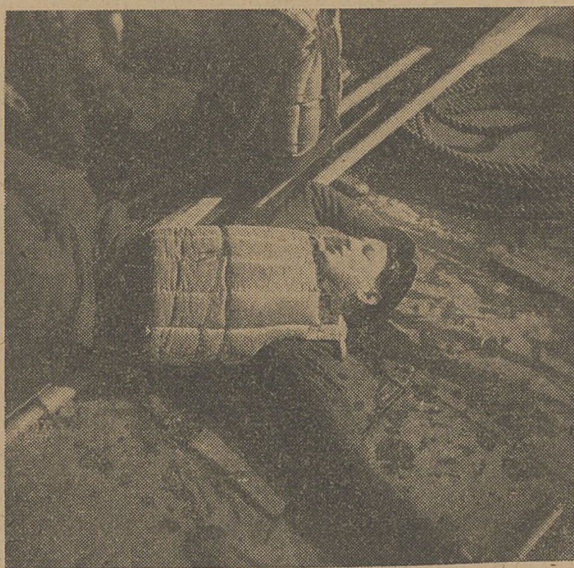
Praca przy budowie mostu



Bardzo często saper jest linoskoczkiem



Saper kombinuje



Odpoczynek sapera



"Polska Walcząca" wśród saperów



Kotwica i saperzy



Humor saperski "Wesołego Alleluja"



Polskie "saperki" na tle angielskich namiotów

Działania Grupy Poleskiej

I.

Kraina polska jest wielka i szeroko rozprzestrzenia się na zachodnim pobrzeżu sarmackiej niziny. Nie jest jednak jej ustronnym zakątkiem. Przez bogatą rozrzutność, jaką zwykła chełpić się przyroda, czy też z przypadku, rozpada się piękna nasza ziemia ojczysta na wiele zamkniętych w sobie okolic, o jak bardzo odmiennym obliczu. Dumne Podhale, majestatyczne w swej soczystej zieleni Karpaty, zadzierzysta Ziemia Krakowska i Sandomierska, melancholijna nizina mazowiecka, rozpostarta nad środkową Wisłą poprzez kordon Prus Wschodnich aż na pojezierze, zamieszkałe ongiś przez wytępionych mieczem krzyżackim Prusaków, prastary Śląsk odwiecznie polski, twarde Poznańskie z gniazdem Orłów Białych, Pomorze, to od Gdańską i to znad Rugii i Rostoki, wpatrzone w siną dal morską, żeby już nie wspomnieć o pięknej ziemi Serbów Łużyckich na Połabiu, urocza i romantyczna Wileńszczyzna, daleko gdzieś w mrokach leżąca Białoruś, a w końcu Polesie, noszące również imię Rusi Czarnej, która obok żyznego złotodajnym plonem Podola i bezbrzeżnie rozległej Ukrainy, składają się na całość ziem Polskiej Rzeczy Pospolitej.

Polesie! O nim mówić zamierzamy. Z pośród wszystkich polskich stron kraina egzotyczna, bo przez swą niedostępność ogromnie mało znana. Piękno jego przyrody w swej pierwotnej szacie jest tak samo proste, jak pierwotny i nieskomplikowany w swej postawie jest lud te strony zamieszkujący. Ma to przyczynę nade wszystko w ukształtowaniu poziomym owej krainy. Kto myśli o Polesiu lub zetknie się z nim, wyobraża sobie jakoby miał do czynienia niemal z bagnistą dżunglą. Nie wielu ludzi wie, że jest to połać ziemi o całkowicie nieprzepuszczalnym podglebiu, nie mająca prawie żadnego odpływu. Stąd rodzi się zjawisko pozornych bagien, a to tymczasem liczne opady zalewają tylko przez szereg miesięcy w roku płytką wodą wielkie przestrzenie kraju. Kiedy jednak woda powoli się odsączy, a ciepłe słońce lata osuszy resztę, wyłania się krajobraz o niecodziennym bogactwie szaty roślinnej. Przez swój charakter gleby jest ziemia poleska w stanie naturalnym mało urodzajna. W przeciwieństwie do tego stało się Polesie prawdziwym rajem na ziemi dla świata istot zwierzęcych.

Piękno całości kraju widziane w tych warunkach, czaruje nowoczesnego człowieka, zmęczonego urbanistycznym napięciem władz duchowych i fizycznych.

II.

Kiedy myślano w Polsce o wojnie, Polesie grało rolę kopciuszka, o którym się nie mówi i pozostawia się go w domu, gdy trzeba w czas godów weselnych pójść do sąsiadów na zabawę. Kampania jesienna roku 1939 w Polsce przyniosła z sobą rozliczne niespodzianki, a w szczególności była wielkim zaskoczeniem dla kierujących mózgów wojskowych. Miażdżące uderzenia i nad wyraz szybkie ruchy nieludzkiego napastnika, przeniosły w niedługim czasie pożogę wojny w głąb kraju.

Daleko na zachodzie zmagania trwały jeszcze w pełni. Nad Bzurą i Rawką szalała w całej swej zawziętości bitwa pod Kutnem. W Małopolsce znajdowali Niemcy rozpaczliwie bohaterski opór. Gdynia i Hel, pozostawione swemu losowi, zwycięsko opierały się krzyżackiemu pomiotowi znajdując wydatne wsparcie w jednostkach naszej skromnej w rozmiarach marynarki wojennej. Warszawa zawzięła się w swym bólu i w stanowczym oporze, urągając subtelnym wymysłom techniki niemieckiej i ich gwałtownym ambicjom zawładnięcia sercem Polski, biła się zamieniona w jedną rozlegle-ogromną Redutę Ordona.

Nadmiar buty germańskiej goniącej za krainami "Lebensraumu," zdruzgotał prawoskrzydłową Grupę Operacyjną gen. Młot-Fiałkowskiego, a następnie spychał ku południowi armię "Modlin" gen. Krukowicz-Przedżymirskiego. Część tych samych sił niemieckich wylewała się ku rozłogom Polesia.

Wojska rozmieszczone w czasie pokoju w tej stronie Polski stanowiły Okręg Korpusu IX. pod dowództwem gen. bryg. Franciszka Kleeberga. Zostały one faktycznie zmobilizowane w marcu 1939 r. roku i przewiezione do właściwych rejonów koncentracyjnych. W garnizonach pozostały natomiast Ośrodki Zapasowe, które w chwili mobilizacji powszechnej, po wchłonięciu zasobów różnego rodzaju sprzętu i elementu ludzkiego rezerwistów, rozrosły się z powrotem do rozmiarów pułków na stopie wojennej.

W chwili zagrożenia, która nastała jak to już opisane, gen. Kleeberg podjął się zadania obrony Polesia. Miała ona stanowić prawoskrzydłowy bastion w nowym planie oporu. Pierwszą linię tej pozycji obronnej wytknięto śladem: obrony Polesia—biegiem Wieprza—dalej nurtem Wisły—a w końcu Sanu.

Dowódca Poleskiej Grupy Operacyjnej podzielił całość na:

—Podgrupę Korpusu Ochrony Pogranicza,

—Odcinek "Łuniniec,"

—Podgrupę "Jasiołda,"

—Podgrupę "Drochiczyn Poleski,"

—Podgrupę "Kobryń" oraz

—Podgrupę "Brześć nad Bugiem," rozmieszczając celowo, stosownie do powziętej myśli manewru, rozporządzane siły i środki. Sam zaś Dowódca Grupy Poleskiej i jego Kwatera Główna stanęły w Pińsku.

Najsilniej wyposażył on i obsadził dwie lewoskrzydłowe podgrupy oraz podgrupę KOP'u, ostatnią niejako w charakterze pewnego rodzaju odwodu. Akcja Sowietów stworzyła potem tragiczne uzasadnienie dla ostatniego momentu.

Na przestrzeni tak rozległej pozycji podjęto skrzętnie pracę około jej umocnienia i urządzenia terenu do obrony, środkami bardzo skromnymi, jakie posiadał ten zespół.

Nie zapomniał również dowódca Grupy Poleskiej o urządzeniach tyłowych, których zaczątkiem stały się służby i zakłady dawnego OK. IX. Brak zaplecza uzupełniły te urządzenia wysiłkiem własnej przemyślności, przy czym ich zwierzchnicy nie szczędzili dobrej woli i wysiłku.

Dnia 14.IX. uderzyli po raz pierwszy Niemcy na pozycję poleską, a w szczególności na odcinek podgrupy Brześć n/Bugiem. Węzeł dróg zbiegających się u mostów w Brześciu, był oddawna przewidziany, jako miejsce obronne. Tu zbudowali ongiś Rosjanie na owe czasy potężną twierdzę. Nigdy jednak nie było jej pisane, by spełniła swe zadanie. Kiedy w roku 1915 przyszło do walk u jej fortów, zdobyto je wstępnym bojem.

Tym razem szczęście również nie sprzyjało obrońcom Brześcia. Sprawę przypisać należy jednak brakowi sił i środków, jakich nie stało gen. Konstantemu Plisowskiemu do spełnienia jego trudnego zadania. Nie zdołał on opatrzyć się nawet, gdy stanął ze swoimi słabymi siłami na skrzydle pewnego rodzaju frontu, który utworzył się przejściowo, jakby przedłużenie pozycji obronnej Grupy Poleskiej, pomiędzy Bugiem i Wisłą. Rzeczony front był naprawdę tylko fragmentarycznym uszykowaniem opóźnienia w ogólnym odwrocie prawego skrzydła sił polskich, jeśli brać uszykowanie wyjściowe w początkowym okresie zmagań.

Podgrupa Brześć n/Bugiem, jakby wysunięty bastion skrzydłowy, otoczona ze wszystkich stron, stawiała opór przez cztery dni, aż w nocy 16/17 września spłynęła szlakiem ogólnego odwrotu ku południowi, odszczepiając z układu jednostek na Polesiu jego lewy zrąb.

W czasie tych walk gen. Plisowskiego wylewały się siły niemieckie dalej ku wschodowi, a postępując tak co raz dalej, natknęły się z kolei na podgrupę "Kobryń," następny z częstokołów obrony Polesia. Tu znalazły zdecydowany opór, uszykowany na rozległej stosunkowo przestrzeni, a złożony z Ośrodków Zapasowych 30.DP. tej podgrupy. Dowodził nią płk. Adam Epler. Nie ustąpiono w czasie całych walk w tej stronie ani piędzi ziemi, niszcząc zakusy nieprzyjaciela o zawładnięcie Kobryniem kolejnymi przeciwnatarciami.

We wszystkich tych zmaganiach dawał się odczuć dotkliwy brak artylerii. Pojedyńcze baterie, którymi rozporządzano, czyniły nadludzkie wysiłki, by sprostać waleczności piechoty.

III.

W nocy z 16/17 września zawładnął przeciwnik Brześciem n/Bugiem, odrywając od całości Grupy siły, które broniły tego przedmościa. Reszta całości wojsk Polesia nie upadała przez to na duchu. Wszyscy zgodnie rozumieli, iż wypadek ten powoduje jedynie konieczność bardziej krzepkiego oporu i poważnego spokoju w obliczu nadchodzących wypadków.

Wstał piękny jesienny poranek w dniu 17 września; każdy z nas myślał wyłącznie o czekającym go zadaniu. Tymczasem głośniki radiowe poczęły rozbrzmiewać wieścią o wejściu Sowietów do akcji.

Podgrupa KOP'u została zaatakowana o świcie dnia 17 września. Z razu napadnięci Kopowcy przypuszczali, że idzie tu o odosobnione przypadki nadgraniczne. Nie mniej jednak bardzo szybko zrozumiano pomyłkę, gdyż walki rozgorzały na całym pograniczu sowieckim od miejsca, gdzie kolej poleska opuszcza granicę państwa dalej ku południowi.

Zagrażał nam silny uścisk kannejski, bardzo wymownie symbolizujący położenie i los narodu. Każdą z gniotących wojska polskie na Polesiu szczęk stanowił jeden z dwu sąsiadów Rzeczypospolitej. Wyrażała się w tym położeniu i w tego rodzaju momencie naocznie tragedia Polski, a z nią gorzki los wszystkich Słowian Zachodnich.

O pozostaniu w tych warunkach na dotychczasowej pozycji, mowy być nie mogło. Grupa Poleska przeszła w pierwszym skoku do rejonu Zbaraża. Główna oś marszu miała przebiegać śladem miejscowości: Janów Poleski — Lubieszów — Kołki — Ołyka — Dubno — Poczajów — Zbaraż.

Dowódca Grupy Poleskiej postanowił zebrać w ciągu ruchu siły w ciasnym stosunkowo, a zamkniętym w sobie, rejonie: Kamień Koszyrski—Werchy. Działanie to było zarazem pierwszą fazą wykonania zamierzonej operacji. Przeważna część jednostek Grupy znalazła się w tym rejonie 19 i 20 września. Nie dociągnęła tam jedynie podgrupa KOP'u, gdyż przestrzeń, jaką miała ona pokonać na to nie pozwalała.

Tę stratę wyrównał zaś pewien przyrost sił. Przy opuszczaniu pierwotnej pozycji obronnej Grupy Poleskiej, zdołano nawiązać na jej dalekim przedpolu łączność z Podlaską Brygadą Kawalerii, odnalezioną w rejonie pomiędzy Białowieżą a Prużaną. Dowódca brygady gen. Ludwik Kmicic-Skrzyński poddał się pod rozkazy dowódcy Grupy Poleskiej i został skierowany z swą wielką jednostką przez Drohiczyn Poleski i Lubieszów do rejonu Werchy. W czasie dalszego marszu na południe a później ku Włodawie, posuwał się on na lewym skrzydle Grupy, jako jej zewnętrzna osłona.

W czasie marszu pierwszej fazy żaden z pośród dwu nieprzyjaciół nie nacierał, ani nie nawiązał styczności bojowej. Niemniej jednak niektóre oddziały z pośród wojsk gen. Kleeberga przelewały krew, znacząc trupami poległych szlak swego marszu.

W pochodzie poprzez równiny Polesia, jak i w czasie zgrupowania około Kamienia Koszyrskiego, tudzież w dalszym przemarszu, miały jednostki Grupy za przeciwników także zorganizowane bandy ruskich dywersantów komunistycznych. Rebelia ta nie była bynajmniej nic nie znaczącym odruchem; była to natomiast akcja ujęta w karby, a posiadająca w swym arsenale również i broń maszynową. Podejmowali zaś dywersanci ruscy walkę ze znacznymi nawet oddziałami wojska regularnego, a wobec oddziałów naszych o mniejszej sile, jak ubezpieczenia i zwiady, postępowali zbuntowani ze skrajną bezwzględnością. Tak tedy na ponurym tle podwójnego najazdu gorzała bratobójcza walka, podsycana zacietrzewionym zaślepieniem.

Podczas tego początkowego ruchu Grupy Poleskiej otrzymał jej dowódca od Wodza Naczelnego rozkaz przemarszu zagranicę państwa do Rumunii, lub stosownie do wyłonionego położenia na Węgry.

Tadeusz Śmigielski

"Bateria śmierci"

1-go Pułku Artylerii Motorowej

W święto Pułku



Czy istnieje piękniejszy na świecie kraj od Podola?

Podole od jaru jednej rzeki do drugiej, od Miodoborów i Pantalichy do zębiastej Sierry Karpat. W soczyste lato, kiedy zieleń kopuł drzew idzie w zawody z zielenią łąk a srebro falujących łanów żyta odbija niebo, w czerwoną jesień, kiedy w Wieczór Zaduszny palą się naokoło widnokręgu cmentarze, jak ognie alarmowe przed inwazją śmierci, w matowo-białe noce zimowe, kiedy zadymka porywa z zasp śnieżnych sztandar kurzawy, wyjącego triumfu nad bezsiłą człowieka, a nagie gałęzie drzew smagają bluźnierczo niebo, w dnie przedwiosenne, kiedy znad kałuż błota nadlatuje najbardziej mistyczny, upajający zapach, zapach nie dający się niczym określić nowego życia, przybywającego z wiosną. Podole roślin najbardziej sprzyjających człowiekowi i ścielących się u jego stóp i rozwieszających nad głowami w bezcenne tło, Podole zwierząt najłagodniejszych i najprzedziwniejszych w formie i czarze ruchów, Podole ludzi sennych, naiwnych i prostych. Podole chat rozsypanych wzdłuż stawów jak uriańskie perły na srebrze zwierciadła. Podole miasteczek małych i kolorowych w cieniu białych, barokowych wież kościołów.

Oto jeszcze raz wstaje ponad nią dzień wrześniowy. Świt siny i upiorny, zamiata długie cienie, jak szprychy koła przeznaczenia. Boleśnie męczącym, krótkim snem sklejone oczy otwierają się na rzeczywistość. Czuby drzew Dytiatyna skąpane są już w złocie słońca, ale brodzą jeszcze w siwej mgle po kolana. Rosa pali się na tarczach i lufach dział. Przy nich leży obsługa. Pasy steranego ekwipunku wcisnęły się w ciała kanonierów, jak szleje pociągowych koni. Są matowi w skąpym świetle poranka. Wstają ze swych posłań, za które służy naga ziemia, nie okrzepieni snem, pełnym złych przeczuć i przywidzeń. Zimny świt przedbitewny wlewa w nich chłód i przejmuje dreszczem osamotnienia. Oto samotna bateria w morzu ryczącego odpływu zagłady. Nie daje im los widoku i słodyczy suchego lądu, im pozostałym i walczącym w odmęcie i pianie żywiołu obcego ich naturze, jak jest obcym naturze człowieka chaos i furia dzikiego morza.

Jedynym, co im pozostaje wśród pustki i osamotnienia to działa. Cztery lawety skupiają koło siebie i ogniskują w sobie gorączkowe myśli jednych i podświadome, instynktowne wzruszenie innych. Kiedy wiatr nadlatujący znad dróg donosi do nich zgiełk i tętent koni i tumany kurzu, unoszące się ze szlaku powrotnego hord Eurazji, im którzy tu stoją, działa te są nie tylko śmiertelnymi narzędziami zemsty i przestrogi na zawsze, działa te są nie tylko realnym dowodem ziszczonej tęsknoty rycerskiego temperamentu do własnej broni i własnej świętej wojny, za troskę o nie i myśl o nich nie tylko odpłacają się w chwili złowrogiej poczuciem bezpieczeństwa i siły kręgu spraw własnych, dają one najszczęśliwszemu żołnierzowi, jakim jest artylerzysta zaklęty, zdawało by się, w zimny zeskład stali i mechanizmów wcielenie tego wszystkiego, co stanowi dumę i do czego zawsze będzie wracać jego myśl.

Oto obraz baterii w świtaniu wrześniowego Podola. A rzeczywistość? Cztery dobrze zużyte austriackie "Gebirgegeschütz," 10-o centymetrowe, amerykańskie, wytarte i wyszmelcowane przez brud wojny mundury, buty popękane, ukazujące nagie pooparzane stopy, kaszel nieprzespanych w bagnach nocy, twarde okruchy komiśniaka i zielone jabłka w chlebakach, pogorzeliska wsi i niepogrzebane ciała ludzi wokoło, lata wojny pod obcym znakiem u starszych, niedokarmione dzieciństwo najmłodszych, Po prostu ludzie bez precedensów szczęścia, bez precedensów sławy, bez precedensów ideału. Jakiś przedziwny instynkt, wspaniały wiew ponad świadomą myślą rozwiewający sztandar najszlachetniejszego patosu każe im stać wokół tych czterech dział, jakby ta działobitnia miała być mównicą wobec całego świata.

Oto w ogniu dział wrażych idzie szarża. Kiedy rozpalone lufy haubic pozostaną na zawsze z otwartymi zamkami w oczekiwaniu na pociski, których już brak, obsługa ścieśni się wokół nich z bronią w ręku. Nie wyobrażajmy sobie tej sceny jak klasycznej, dekoracyjnej batalii. Śmierć nie jest dekoracyjna. I śmierć nie waha się ani przed podłością ani przed bohaterstwem. Po prostu pod błękitnym niebem Podola, w świście toczonych szaszek umierali ludzie. Legli wszyscy przy swych działach.

Oto było tak pod Dytiatynem 16-go września 1920 roku. Poległ dowódca baterii Kapitan Zając i 98-u kanonierów. W ich pułku na pamięć tego każda pierwsza bateria nosi nazwę "Baterii śmierci."

Zygmunt Haupt
rysunek autora

Tomek — Polish friend



Tomasz Neale w Polsce w latach 1914-1918

W środkowej Anglii, jeszcze przed wojną światową, żył sobie młody Anglik, który miał specjalne upodobania. Szalał za boksem, to znowu za piłką nożną, a w wolnych chwilach od treningu gniótł ciasto, a potem wypiekał przeróżne smakołyki. Lecz pewnego dnia sielanka ta skończyła się. Młody Anglik nazwiskiem Neale, wstąpił do wojska.

W kilka miesięcy potem walczył już pod Ypres. Pech chce, że jego oddział przerzucają na inny odcinek frontu. Jest ciemna noc, jak oko wykol. Nagle żołnierze angielscy są otoczeni przez Niemców. Młody chłopiec wraz z kolegami dostaje się do niewoli, nie przeszedłszy nawet chrztu bojowego. Długo jedzie w zamkniętych wagonach. Niemcy wydają się mu jakimś olbrzymim, niekończącym się krajem. Wie tylko, że wiozą go gdzieś na wschód.

Wreszcie zatrzymują się w krainie pełnej słońca i złocistych łanów zboża. Wysiadają. Niemiecki żołdak wydziela grupę, z którą młody Neale maszeruje na roboty rolne do jakiegoś dworu. Zmęczony, zasypia kamiennym snem. Rano budzą go. We dworze jest już gwarno, słychać jakieś okrzyki, niezrozumiałe dla Anglika. Jasnowłose dziewczęta wyganiają bydło na pastwiska, parobczaki poganiają konie do wodopoju. Anglik widzi teraz jakiś inny kraj, odmienny od swej ojczyzny. Ludzie są tu nie najgorsi, uśmiechają się do niego, podają mu jedzenie, coś mówią. *Prisoner* Neale jest zachwycony odnoszeniem się ludności niemieckiej do niego, więc pyta, gdzie się znajduje. Pada krótka odpowiedź: w Polsce.

—W jakiej Polsce—ja przecież jestem w niewoli niemieckiej—tu są Niemcy—Polska jest gdzieś daleko w Rosji, pamiętam przecież ze szkół.

Dziedzic tego majątku, mówiący po angielsku, tłumaczy mu:

—Myli się pan. Pan jest wprawdzie jeńcem niemieckim, lecz gościem polskiego domu. Tu jest Polska. Tu mieszka lud polski, który otoczy pana sercem i opieką.

Po kilku dniach nawiązuje się przyjaźń z jeńcem angielskim. Pan Neale zostaje przezwany Tomkiem i powiększa grono rodzinne. Razem siada do stołu, razem wyjeżdża na przejażdżki konne, to znowu bryczką udaje się na odpust do sąsiedniego miasteczka. Tomek z czasem staje się jeńcem polskiej, ziemiańskiej rodziny. Jest nieodłącznym towarzyszem i bratem dziedzica majątku.

Rano, gdy słońce budzi go, wyjeżdża w pole, pracuje, kosi, wiąże snopy, a pod wieczór wraca i resztę dnia spędza w starym, polskim dworze. Tomek przywiązał się już do tej bogatej ziemi i otoczenia. Czasem wpadnie do kuchni, ulepi kawał ciasta i wrzuci do pieca, poczem wyciąga ulubiony przysmak, tak mu przypominający Anglię.

I tak leci rok za rokiem. Tomek zaczyna już mówić po polsku, ba, nawet z dziewczętami wiejskimi flirtuje po sumie przed kościołem. Wreszcie wybija godzina powrotu do zwycięskiej ojczyzny.

Po czterech latach jest świadkiem rozbrajania niemieckiego wartownika przez jego towarzyszy pracy na roli. Jest wolny i wraca do kraju. Jeszcze spędza ostatnie chwile w Poznaniu, w towarzystwie swego przyjaciela, właściciela majątku, poczem odjeżdża do Gdańska, skąd powraca do Anglii. Na pożegnanie rzucają mu:

—Tylko Tomek pamiętaj o nas, nie zapominaj i pisz. Adresuj już: *Poland.*

A Tomek odpowiada:

—A wy też odwiedźcie mój kraj. Chcę was tam ugościć i odwdzięczyć się, za tyle dobrego serca, okazanego jeńcowi.

Tomek dotrzymał przyrzeczenia. Listy z Anglii napływały ciągle. Jeszcze przed wojną obecną p. Tomek odwiedził starych znajomych. Zmienił się nieco, postarzał, lecz zachował swój młodzieńczy temperament. I dziedzic zaglądnął do jego rodzinnego miasta Bradford. Mieszkańcy miasta zgotowali Polakowi niebywałą owację, padały toasty, wygłaszano mowy, a na pożegnanie dodali:

—Przyjedźcie jeszcze do nas, chętnie was ugościmy.

* * *

I oto 1 września 1939 Tomek dowiaduje się z radia, że hordy niemieckie wtargnęły w ten kraj, który tak pokochał. Siedzi całymi godzinami przy głośniku, nie chce uwierzyć, że barbarzyński naród Niemców zalewa bezbronny kraj. Prostuje nawet podaną w miejscowym dzienniku wiadomość, że Warszawa już padła.

—To niemożliwe! To kłamstwo!—woła do redaktora.—W tej chwili słuchałem Warszawy. Słyszałem sam głos speakerki: Warszawa jeszcze walczy, jeszcze broni się. Z tej bohaterskiej stolicy płyną melodie szopenowskie.

Miesiące pędzą jak na taśmie filmowej. I znowu płyną melodie Szopena. Resztki armii polskiej z Francji szczęśliwie lądują na ziemi angielskiej, a wśród żołnierzy jest jego przyjaciel, brat dziedzica, rotmistrz Czarnej Brygady. Tomek na pierwszy znak życia starego przyjaciela przyjeżdża do obozu. Organizuje pomoc i w gościnę zaprasza starego druha. Cały wysiłek, całe serce ofiarowuje naszej armii. Zakłada pierwszy Komitet Przyjaźni Polsko-Angielskiej, werbuje matki chrzestne, które zasypują listami swych "synalków." Ściąga chór i orkiestrę 10 Brygady Kawalerii, ażeby w Bradford urządzić wielki koncert. Wyciąga gdzieś z lamusa stare zdjęcia z Polski, jakieś mapy, robi przeźrocza i wygłasza dla Anglików odczyt o Polsce, o jej kulturze i walecznym narodzie.

Tomek nie ustaje w pracy, jest zawzięty w swych poczynaniach i misji propagandowej dla Polski. Pisze więc list do generała Maczka, ażeby przysłał mu dwóch żołnierzy, artystów-malarzy, ponieważ chce otworzyć klub polsko-angielski, utrzymany w polskim stylu ludowym. W tym mieście musi powstać klub, jest już trzystu kandydatów na członków. Anglicy chcą uczyć się języka polskiego, więc muszą mieć dach nad głową i to utrzymany w stylu polskim.

Dostałem rozkaz wyjazdu wraz z moim przyjacielem. Przy głównej ulicy Bradfordu stał pusty wielki sklep, ofiarowany przez Lorda miasta na klub polsko-angielski. Ściany pokryte kurzem prosiły się, ażeby narzucić na nie barwne plamy. Praca ruszyła z miejsca. Pan Tomek nie odstępował nas na krok, pozostawiając bez nadzoru swoje elektryczne piece piekarskie. Sam zakasał rękawy, chwycił za pędzel i odstawiał co grubszą robotę. Miał tylko jedną prośbę: Nie zapomnijcie mi namalować ratusza w Poznaniu.

Ściany pokryły się fragmentami miast polskich, to znowu zdobnictwem ludowym od Podhala aż po Łowicz. Nie brakło też i graficznie potraktowanej mapy Polski, o którą najwięcej walczył pan Tomasz.

A kiedy wieczorem zmęczeni usiedliśmy do stołu, Tomek z przejęciem opowiadał o Polsce, ciągnąc piękną nić wspomnień. W pewnej chwili podano do stołu świeży chleb. Jeden był jasny, drugi ciemny—do wyboru. Pan Neale odezwał się:

—Ja wiem, że wy wolicie ciemniejszy chleb, to wam Polskę przypomina. Pamiętam w pierwszych dniach pobytu we dworze, byłem nieco głodny, chociaż jedzenia miałem do syta. Wreszcie pewnego dnia matka dziedzica doradziła mi: Tomek, jedz ten ciemniejszy chleb on jest pożywniejszy i zdrowszy. Próbowałem go raz i drugi, to zdrowy i dobry chleb.

A po chwili sympatyczny Anglik zapytał:

—Czy w ostatnich latach utrzymała się jeszcze tradycja, że matka, podając do stołu chleb, robi na nim znak krzyża? To piękny zwyczaj i poszanowanie chleba.

Przytaknąłem mu, że ten zwyczaj zachował się. Pan Tomek, jak gdyby wertował kartki wspomnień i po chwili zapytał:

—A czy kowal, gdy kończy pracę, układa jeszcze na kowadle młotek i kleszcze w znak krzyża?

To pytanie zaskoczyło mnie i nieśmiało odpowiedziałem, że nie słyszałem o tym.

—Jakto, pan nie wie? Ja pracowałem też i w kuźni, nawet konia umiem podkuć. Pamiętam, był tam stary kowal o długim polskim wąsie. Kiedy odezwał się dzwon z kościoła na Anioł Pański, gasił ognisko, odkładał młot, a potem żegnał się i odmawiał pacierze. Pytałem go, poco układa narzędzia pracy w znak krzyża? Odrzekł mi z powagą: by diabeł nie wkradł się do mojej kuźni. Tak, to były piękne lata i dużo miłych wspomnień utkwiło w mej pamięci. Po pracy wychodziłem na przechadzkę do wsi. Nie było domu, którybym mnie nie znał. Kobiety, dzieci pozdrawiały mnie. "Dzień dobry Tomek," lub "dobry wieczór Tomek." Cała wieś nie nazywała mnie inaczej, jak tylko Tomek. A jak miło ci ludzie mieszkają! Jaka tam wzorowa czystość! Chociaż mały pokoik, to jednak bardzo przytulny. Te garnki, te nakrycia, te stosy poduszek i pasiaki . . . jakież to wszystko piękne! . . . Rozmawiałem całymi godzinami z tymi ludźmi. Czy to byli biedni, czy bogaci, wszyscy niezbicie wierzyli, że Polską powstanie i będzie silna.

Tomek zapala się i ciągnie swe opowiadanie:

—Później w Anglii spotykałem się ze zdaniami, że Polskę i jej ludzi trudno poznać. Oburzyłem się na to i z całą stanowczością odpowiadałem: Bo pan mieszkał w Warszawie i obracał się tylko w pewnych sferach. Ja zaś żyłem z polskim ludem, poznałem go na wskroś i wiem, jaki to szlachetny naród.

Północ już dawno minęła, a my wsłuchiwaliśmy się w te szczere, serdeczne słowa. Byliśmy dumni i serca nam piersi rozpierały. Tomek wyciągnął zegarek, spojrzał na niego i rzekł:

—Na dzisiaj chyba dosyć, trzeba iść spać, jutro też praca. Nagle oczy mu się zaiskrzyły i z uśmiechem dziecka dodał:

—Ten zegarek, to też z Polski. Kupiłem go na jarmarku w T. Ma już 25 lat i chodzi co do sekundy. Mam coś z dziesięć zegarków angielskich, lecz ten jest najlepszy.

* * *

Po pięciu dniach klub, a raczej jego ściany nabierają już wyrazu i upodabniają się do tych naszych dalekich z Polski. Nawet garnki angielskie przerabiamy na nasze polskie, bronowickie i te z pod Łowicza. Tomek czuje się w tych ścianach świetnie, jak ongiś w polskim dworze. Zaciera dłonie i co chwila częstuje papierosami.



Tomasz Neale w Bradford

Praca niestety toczy się wolno, ponieważ wciąż otwierają się drzwi i sympatyczne Angielki wchodzą, ażeby oglądać wyczyny polskich malarzy. Zarzucają przy tym tysiącami pytań, jak np: Dlaczego czarne drzwi przemalowuje się na różowo? W pewnej chwili jestem już niegrzeczny. Właśnie weszła dość korpulentna, starsza pani. Mimo woli wyrwało mi się:

—No, jeszcze jedna.

Na to moje niefortunne odezwanie słyszę słowa:

—Dobry wieczór panom!

Nie odwracając głowy, pod nosem odpowiadam:

—Dobry wieczór.

—Pan kiedy przyjechał do Bradford—pada pytanie.

—Dwa dni temu—odpowiadam już tonem łagodniejszym.

—A czy pani jest Polką?

—Nie, ja jestem Angielką, ale urodzoną w Warszawie. Dwadzieścia lat temu opuściłam stolicę, tutaj wyszłam zamąż i dobrze mi się powodzi.

—Więc pani z Polski—mówię teraz z radością.

—Tak, z Polski, nawet mój dziadzio leży na Powązkach. On założył pierwszą fabrykę koronek i firanek w Warszawie. Niech pan nie śmieje się ze mnie, jeśli źle mówię po polsku, lecz ja po raz pierwszy od dwudziestu lat mówię waszym językiem. Ja szkoły kończyłam w Warszawie—liceum. . . .

Zasypuję Warszawiankę niezliczoną ilością pytań. Po chwili przemiła pani rozgląda się po sali, a potem nawet z pewnym żalem zwraca się:

—A dlaczego pan nie namalował Alei Ujazdowskich, a dlaczego nie ma Krakowskiego Przedmieścia? A gdzie jest ogród Saski?

Tłumaczę, że jeszcze sala jest niewykończona, że Warszawa też będzie.

—No, niech pan uważa. Z Warszawianką pan będzie miał do czynienia. A czy na Chmielnej jest jeszcze ta apteka, a ta cukiernia na Nowym Świecie. . . .

Wyjaśniam, że nie wiem, być może, że ocalała. . . . Minuty, godziny płyną, a ja ciągle odpowiadam na przeróżne pytania. Już był późny wieczór, kiedy na pożegnanie ucałowałem rękę tej miłej pani. Wtem ujrzałem, jakgdyby łzy w jej oczach. Otworzyła torebkę, sięgnęła ręką do niej i wydobyła papierośnicę:

—Niech pan przyjmie na pamiątkę od Warszawianki ten skromny prezent.

Broniłem się, tłumaczyłem, że nie jestem w stanie odwdzięczyć się, lecz po chwili skapitulowałem. Czytałem z jej ócz, że robię jej wielką przykrość. Na pożegnanie wypowiedziała słowa:

—Wie pan, kiedy poczułam się znowu Warszawianką i Polką, chociaż jestem urodzoną Angielką? Gdy pierwszy raz usłyszałam na koncercie pieśń polską, śpiewaną przez pańskich kolegów, żołnierzy, teraz jeszcze ten lokal i te ludowe ozdoby przypomniały mi mój ukochany kraj.

Antoni Wasilewski



Dwaj żołnierze "Czarnej Brygady," artyści-malarze: Aleksander Żyw i Antoni Wasilewski przy pracy

Skrzynka pocztowa

WELLS A POLSKA

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule Antoniego Bogusławskiego "O wzajemną dobrą wolę" (w nr. 39 "Polski Walczącej") znalazłem takie sformułowanie: ". . . Jeżeli dzisiaj doktrynerzy-fantaści w rodzaju Wellsa ośmielają się *zarzucać nam niedostateczny wkład do skarbnicy kultury ogólno-ludzkiej*, to—pomijając oczywiste nieuctwo lub złą wolę takich polemistów—stwierdzić musimy. . . ." i.t.d.

Nie sądzę, aby ten zarzut pod adresem Wellsa był wynikiem nieuctwa czy złej woli, ale jest to dość osobliwe nieporozumienie, gdyż w ostatniej książce Wellsa "*Guide to the New World*", w rozdziale "Map dreams" znajdujemy powiedziane wyraźnie:

". . . Polska chłopa i robotnika może być uratowana, nim zupełnie zostanie wysterylizowana, wykastrowana i zniszczona pod butem hitlerowskim. Nie wiele jest czasu na uratowanie tej Polski istotnej. Cierpi ona podłość nieopisaną. W federacji światowej mogłaby żyć i kwitnąć na swym gruncie ojczystym i w połączeniu z Polską *in partibus* na całym świecie. Mogłaby odnowić swą istotną żywotność w ramach własnej społeczności narodowej, *sądząc zaś z tego, co Polska już dała sztuce i myśli ludzkiej, stałaby się źródłem inteligencji czynnych, pełnych wyobraźni, subtelnych i uduchowionych /fine-spirited/.*"

Sądzę, że aby dyskutować z Wellsem trzeba przede wszystkim znać jego poglądy. O taką "wzajemną dobrą wolę" warto się również upomnieć. "Wiadomości Polskie" podają fantastycznie zniekształcone cytaty z Wellsa, a Antoni Bogusławski polemizuje z zarzutami w ogóle nieistniejącymi. Jest to zjawisko dość gorszące. Nie każdy Polak zgodzi się na poglądy Wellsa o Polsce i nie każdy musi być zwolennikiem jego koncepcji federacji światowej. Sadzę jednak, że dyskusja z Wellsem, jeśli ma być płodna, musi mieć za punkt wyjścia znajomość faktycznego stanu rzeczy.

Łaczę wyrazy szczerego poważania i szacunku.

Antoni Słonimski

* * *

Nasz współpracownik Michał Prozor otrzymał od przyjaciela /adwokata z Warszawy/, przebywającego w Madrycie list, w którym m.in. pisze:

"Czytuję od niedawna "Polskę Walczącą" oraz Twoje znakomite, rzeczowe i politycznie dociągnięte artykuły. "Polska Walcząca" dla emigracji polskiej jest otuchą, radością, nadzieją i podporą. Stokrotne dzięki i cześć redakcji."

Z życia obozów

Między jedną bitwą a drugą

Ameryka jest krajem rekordów, wielkich liczb. Magia cyfr jest urzekająca. Amerykanie lubią się bawić cyframi. Pożyteczna to niekiedy zabawa. Czytałem kiedyś, że właśnie Amerykanie wyliczyli, iż żołnierz w czasie poprzedniej wojny światowej, średnio oczywiście, na jeden dzień walki frontowej—oczekiwał 165 dni /jeśli się o kilka dni nie mylę/. Czekał . . . w zbrojnym pogotowiu. A więc nic nowego. Może jedynie dzisiaj mianownik tego stosunku podskoczył jeszcze o jakiś tam procent. Znały więc to zagadnienie sztaby armii pierwszej wojny światowej. Żołnierz tej wojny napewno też je zna. Oczekiwanie na "drugą bitwę" w naszych szeregach jest pogłębiane jeszcze przez wiele czynników psychologicznych.

Sztaby i żołnierz współpracują nad rozładowaniem "ciśnienia" okresu oczekiwania. A więc środek najlepszy i najważniejszy: doskonalenie wojskowe. Każdy dzień obecnej wojny przynosi nowe odkrycia, nowe doświadczenia. Dziesiątki tysięcy oficerów i miliony żołnierzy już dnia następnego opanować muszą nową technikę walki. Tak jest, a przynajmniej tak być powinno. Wszystko inne, to sprawy drugoplanowe—aż do czasu zwycięstwa.

Ale choćbyśmy w doprowadzeniu sprawności techniczno-wojskowej żołnierza doszli do doskonałości, jeszcze to nie będzie wszystkim. Nie możemy bowiem zapomnieć o kardynalnym współczynniku każdej, a tym bardziej nowoczesnej walki—o duchu żołnierskim, o człowieku, który jest żołnierzem. Pancerz sam i najlepsza nawet broń nie ustoi w miejscu, a tym bardziej nie pójdzie na przód. Za pancerzem, przy broni, musi stać człowiek. Od tego, co ten człowiek czuje i jaki go duch ogarnia w momencie walki, zależy wszystko: wygrana lub klęska.

I.

Wojsko w czasie wojny jest organizacją obejmującą życie żołnierza bez reszty. Wojsko polskie w dzisiejszych naszych warunkach jest taką organizacją tym bardziej. A zatem w ramach tego wojska żołnierz musi znaleźć wszelkie warunki, nie tylko utrzymania sprawności fizycznej, ale—co dzisiaj niemniej ważne—odpowiedniej postawy wewnętrznej. Wojsko, jako organizacja, musi czuwać nad duchem żołnierskim szeregów. Z szeregów wojską musi być usunięte wszystko, co jest duchowi temu obce /np. politykowanie/, a zachowane to, co może utrzymać go na wysokim poziomie /np. dokształcenie ogólne/.

II.

Żołnierz polski sam w tym kierunku poszedł świadomie i rozwinął bardzo ciekawą inicjatywę. Znaleźliśmy się po przyjeździe na Wyspy Brytyjskie w nowym, całkiem nam obcym świecie. Ciekawość nowości, chęć poznania i porównań, wyciągania wniosków i nauki na przyszłość popchnęły nas do nauki języka angielskiego znacznie przed rzuceniem pięknego hasła "*learn English.*" Grupa młodszych, która ławę szkolną rzucić musiała w r. 1939, po miesiącach przerwy zaczęła dalej prowadzić naukę. Pomogli starsi koledzy. Pierwsi maturzyści i to prawdziwi, nie tacy "czasu wojny," ale po gruntownym przygotowaniu i po poważnym egzaminie, nie opuszczając szeregów, przeszli Rubikon szkoły średniej. —Dalsi idą w tym samym kierunku. Do końca bieżącego roku spora gromadka dojdzie do tego samego celu, a do połowy roku przyszłego nie będzie w W.P. niedokończonych gimnazjalistów lub licealistów. Oczywiście, takie wyniki podnoszą na duchu nie tylko tych zuchów i ich przełożonych, ale całą naszą żołnierską gromadę. Bo mimo wszystko nie po różach idą ci młodzi ludzie w swoim uporze—po nowe horyzonty.

Szeregi nasze poza tymi najmłodszymi mają wielu ludzi, którzy już stawiali pierwsze samodzielne kroki w życiu. Wojną oderwani od swych warsztatów, chwycili za broń, gdyż to w czasie wojny zajęcie najważniejsze. Z tą bronią przeszli wiele państw Europy, a nawet innych kontynentów. I dzisiaj, doskonaląc swoją wiedzę wojowania, znajdują jeszcze czas na uzupełnianie ogólnych wiadomości o życiu, na zdobywanie nowych. Pogotowie zbrojne nie pozwala na opuszczanie szeregów wojska dla tych spraw, wprawdzie bardzo ważnych, lecz jednak obecnie drugoplanowych. I dlatego kapitalnym w pewnym stopniu rozwiązaniem trudności był pomysł zbliżenia świata myśli do szeregów przez powszechne wykłady t.zw. Uniwersytetu Polowego.

III.

Najlepsze nawet pomysly mogą być zwichnięte przez pośredników. W danym wypadku niemałą rolę w pomieszaniu pojęć odegrało zapewne t.zw. "*wishful-thinking*" wielu kombinatorów domniemanej sposobności zdobycia dyplomów. Niewątpliwie zbyt wiele megalomanii kryje sam wyraz "Uniwersytet." Trzeba mieć jednak poczucie różnicy między warunkami pracy naukowej na Uniwersytecie a tymi, jakie nam może zapewnić krótka przerwa między jedną i drugą służbą żołnierską.

A mimo to zaczęto mówić bodaj o indeksach, o kollokwiach, egzaminach, no i oczywiście, co najważniejsza—o dyplomach. I czyż nie łatwo wyobrazić sobie nowy zalew naszego życia powojennego nową falą dyletantów z dyplomami magistrów, doktorów a może nawet inżynierów uniwersytetu polowego czy politechniki polowej. Nie bądźmy nieostrożni. Nie popadajmy w stare błędy. Dyletanctwo epoki poprzedniej przyniosło nam zbyt wiele szkód. Kto na gorącym się sparzył. . . .

IV.

Zgodnie z założeniami i programem prac t.zw. Uniwersytetu Polowego możemy skromnie, w ramach rzeczywistości pogotowia wojennego uzyskiwać surowy materiał porównawczy i informacyjny dla przemyśleń o środowisku nas otaczającym, przemianach zachodzących w świecie myśli społeczno-politycznej, wreszcie o dawnych i ostatnich osiągnięciach i błędach naszego życia państwowego. Możemy nawet na rozlicznych, krótkich a specjalnych kursach doskonalić swoje dotychczasowe specjalności.

Cały tak zbudowany plan pracy ma oczywiście jasne założenie: poznaj obcych, trzymaj rękę na pulsie przemian bieżących, przypominaj sobie sprawy polskie, nie trać związku ze swoją specjalnością. Porównaj, wybierz co dobre, wyciągnij z tego naukę. Nikt tej pracy myślowej za ciebie nie wykona. Im gruntowniejsze będą Twoje własne przemyślenia, im poważniejsze konkluzje, tym skutki będą większe. Tym bliżsi będziemy nowej rzeczywistości, tym mocniejsze będą zręby, na których wypadnie nam budować nowe życie w nowej Polsce. Wszystko, co robisz dzisiaj, tą powinno mieć miarę.

V.

Któregoś dnia, wracając z prowiantem z batalionu spóźniłem się na obiad. Wprowadziłem "kobyłę" /tak sentymentalnie nazywamy wozy Forda 1500/ pod szopę i zaszedłem do kuchni. Leon, Polak z Luxemburga, obecnie kucharz i znakomity kolega, zwymyślał mnie, ale mimo to podał ciepły, skrzętnie przechowany dla mnie obiad. Ma jakąś słabość do mnie. Zaczęliśmy rozmawiać bez świadków. Leon w takich wypadkach zaczyna się "odkrywać"; tym razem Leon rusza o . . . Uniwersytecie. Jest rozżalony; nie ma jakiejś głupiej tam matury i dlatego nie jest zapraszany na wykłady, bo to podobno tylko dla cenzusowców.

—Nie chodzi mi o żaden dyplom, ale widzisz, ja jestem ciekawy, co tam na świecie—gazety nie mogą dać wszystkiego. Kiedyś z ojcem /był prezesem Koła Związku Polaków/ rozmawialiśmy o świecie, o Polsce, a i teraz otarł się człowiek o różnych ludzi —widział dużo, wiele jeszcze nie rozumiem, choć Franek, ten drugi szofer, tłumaczy mi wszystko, o co zapytam. Jest sposobność usłyszeć i innych ze świata, więc dlaczego nie pozwalają?

Istotnie, dlaczego? Przecież wielu z tych żołnierzy bez t.zw. cenzusu nie odróżnisz dzisiaj nawet od prawdziwych cenzusowców. Cenzusowiec klnie dziś jak górnik z kopalni Francji—a ten ostatni przez półtoraroczne przebywanie w nowym środowisku posunął się znacznie w ogólnym wyrobieniu. Zdobył już wiele.

Mam wrażenie, że na następne wykłady Leon powinien być zaproszony. Tak się zresztą dzieje w wielu oddziałach.

VI.

Rozmawiałem z wykładowcami, którzy już wygłaszali odczyty w W.P. Dla wielu z nich pierwsze zetknięcie z żołnierzem było często rewelacją. Na ogół są zbudowani trafnością stawianych im pytań i wysokim poziomem dyskusji. Nie wszędzie jednak słuchacze mają możność swobodnego wypowiadania się na temat poruszony wykładem. A przecież program zajęć przewiduje jedną godzinę na dyskusję. Są więc jeszcze punkty oporu.

Wielu wykładowców żałuje, że nie może poświęcić więcej czasu na objazdy. Prawie każdy pracuje nad jakimś zagadnieniem i trudno mu odejść od zajęć na czas dłuższy. Otwarcie polskiej stacji radiowej mogłoby poważnie poprawić położenie w tym zakresie. Skrypty, pytania drogą korespondencyjną, poradnia bibliograficzna —oto drogi, na których można by wypełnić choćby część braków w tej pracy.

VII.

Żołnierz polski i polskie sztaby pracują nad udoskonaleniem techniki wojowania. Prócz tego nie zapominają o postawie wewnętrznej, o duchu żołnierskim. Alarm przerywający to zbrojne pogotowie nie zaskoczy nas nieprzygotowanych. Postawa i duch żołnierza polskiego zniósł już wiele ciosów. Zniesie dalsze i dojdzie do zwycięskiego końca. Dojdzie tym pewniej, w tym lepszej formie, im dokładniej zastosujemy w czasie zbrojnego bezrobocia sparafrazowaną myśl "Lwowskiej Fali": między jedną bitwą a drugą można się też i uczyć.

Kazimierz Kiernożycki

"Tiejdż"



Oto dorobek moich rozważań o angielskim języku.

Uczę się angielskiego co dzień—co dzień, a im więcej, a im dłużej, im uporczywiej uczę się tego nieznośnego języka, tym wydaje mi się trudniejszy.

Z każdą lekcją nabieram nadziei, że wreszcie posiądę zawiłe arkana tego języka w stopniu dostatecznym, żeby się porozumieć, ale zawsze najbliższa przyszłość rozwiewa moje marzenia. Mało tego, że nie mogę Szkotom wytłumaczyć o co mi w danej chwili chodzi, ale w dodatku często narażam się na pośmiewisko, a czasem nieświadomie ich obrażam!

Musiałem zmienić trzykrotnie panią mojego serca. Myślałem: właśnie następna potrafi wyuczyć mnie szybko angielskiego . . . W wyniku wszystkie trzy wyuczyły się szybko i sprawnie mówić po polsku, a moje postępy w angielskim były minimalne. Z moją ostatnią ubóstwianą było najgorzej.

Dzień jej urodzin. Posłałem bukiet kwiatów—taki największy —za 4 szylingi. Dołączyłem kartkę z życzeniami, a w końcu, w najlepszej angielszczyźnie zapewniłem, że to jest *in loving memory*. Tymczasem ona obraziła się i od tego czasu nie chciała ze mną rozmawiać. Dlaczego?

Zrozpaczony zacząłem chodzić na samotne spacery. Któregoś dnia nogi same zaniosły mnie na miejsce najbardziej odpowiednie do ponurych rozmyślań — na cmentarz. Na pierwszym nagrobku, który wpadł mi w oczy, zobaczyłem napis.—Jak byk: *In loving memory*. Zrozumiałem!

Pobiegłem szybko, chcąc całe nieporozumienie wytłumaczyć i przeprosić za nieświadomy błąd z mej strony.

"Aha — odrzekła — rozumiem. Chciał pan zażartować. Trochę niesmaczny żart, ale przebaczam".

"Ależ ja wcale nie żartowałem, tylko . . ." dalej zabrakło mi słów, żeby po angielsku wytłumaczyć o co chodzi.

"To to nie był żart?—zakrzyknęła oburzona—to to na serio?! Precz z moich oczu!"

Żeby się usprawiedliwić przed kobietą w swoim ojczystym języku trzeba mieć język stu adwokatów, a cóż dopiero w języku cudzoziemskim—szczególnie angielskim. Dałem spokój. Zrezygnowałem bez walki. Machnąłem ręką na wszystko i uciekłem niosąc rozpacz w swoim sercu.

Albo—nie mówiąc już o składni, doborze wyrazów, gładkości stylu —chociażby sama wymowa. Taki na przykład najbardziej zasadniczy dźwięk w angielskiej mowie, jak *th*—słynne wśród Polaków "tiejdż". Ani rusz nie mogę do tego złożyć ust. Może nie tyle ust, ile języka i zębów. . . A właściwie wszystkiego razem.

Ćwiczyłem się w polu i w domu. Jak Demostenes, z kamykiem pod językiem, krążyłem po morskim wybrzeżu w poszumie fali, szukając natchnienia do odtworzenia niesamowicie trudnego dźwięku "tiejdż". Ćwiczyłem przed lustrem i nic—żadnego wyniku. Na przykład takie straszne słowo jak *weather*. Zawsze brzmi w moich ustach jak "wetter", "wezer", "weser", ale nigdy tak właśnie jak trzeba.

Skarżą się Brytyjczycy, że trudne do wymówienia jest słowo "Szczebrzeszyn" lub sakramentalne "chrząszcz brzmi w trzcinie". . . Ale cóż ja mam biedak powiedzieć o takim słówku jak *thousandth*!

Jeden z moich przyjaciół poprosił w hotelu o wannę—*bath*. Przyniesiono mu butelkę piwa Bass. Powtórzył—z takim samym rezultatem. Na migi tłumaczył, że się chce umyć w *bath*! Myślano, że taki dziwak, że lubi się myć w piwie. Napełniono miednicę piwem. Z rozpaczy wypił wszystko, urżnął się i pozostał brudny.

U nas w uczciwej polszczyźnie wymawiamy wszystkie litery tak jak je widzimy, a tymczasem w angielszczyźnie — proszę — takie małe słówko *enough* albo słowo *island*, w którym ni stąd ni zowąd należy wyrzucić przy wymawianiu literę "s." To słowo przyprawiło mnie znów o kłopot nieporozumienia. Powiedziałem Szkotowi, że lubię jego piękną brytyjską wyspę "ajsland". Byłem przekonany, że "s" należy wymawiać w tym słowie.

Tymczasem, ów ze śmiechem powiedział mi, że przecież *Iceland* — Islandia nie jest brytyjską wyspą i że on nigdy tam nie był. Ja dalejże tłumaczyć, że chodzi mi a *island* a nie o "Iceland"—tu znów myślał, że chodzi mi o *Ireland*—Irlandię. Dopiero papier i pióro zakończyło nieporozumienie. I prowadź tu towarzyską rozmowę po angielsku! Oszaleć można!

Czasem myślę i myślę i dochodzę do wniosku, że muszę sobie znaleźć przyjaciółkę Szkotkę, która by umiała rozmawiać na migi, z którą mógłbym być szczęśliwy, nie łamiąc swego jezyka na angielszczyźnie, być szczęśliwy nie łamiąc sobie języka na kształt skrzydeł holenderskiego wiatraka w różnych ekwilibrystycznych "tiejdżach" i innych, nie mniej trudnych dźwiękach.

Ale niestety—kobiety małomównej nie znajdzie się na całym świecie, a cóż dopiero nie mówiącej ani słówka. Chyba, chyba, że sam ograniczę się do dwóch zasadniczych słów po angielsku, które stosunkowo dobrze wymawiam: "yes" i "no".

Tak! Przypuszczam, że to najlepsze co mogę zrobić.

* * *

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, każdy z czytelników będzie sądził, że te rozważania nad językowymi trudnościami polskiego żołnierza są rozpaczliwym głosem zbolałej duszy niżej podpisanego.

Otoż nie!

Co więcej! . . . nie Polak jest autorem tych rozważań, ale Szkot.

To szkocki dziennikarz z "Sunday Post" tak trafnie i bystro podpatrzył i wczuł się w trudności językowe "Polish boys". I tylko to, że przetłumaczył to wszystko czytelnikom "Polski Walczącej" jest skromną zasługą

Bolesława K. Piekarskiego

Przegląd polityczny

Walki, toczące się w Rosji, a zwłaszcza na froncie południowym, ukraińskim—weszły w fazę rozstrzygającą, ale rozstrzygnięcie dotychczas nie nastąpiło. Sytuacja, która wytwarza się na wschodzie Europy jest poważna dla Niemiec, *ale niemniej krytyczna dla Rosji.* Stalin rozporządza olbrzymią ilością ludzi, ale odnosi się wrażenie, że pod względem wyposażenia w materiał wojenny, czołgi i samoloty—armia rosyjska bezwzględnie ustępuje niemieckiej, wspomaganej nie tylko przez cały, olbrzymi przemysł Rzeszy, ale przez również potężne wytwórnie broni Francji, Belgii, Włoch, Czechosłowacji i w ogóle krajów podbitych. Na terenach rosyjskich może nie grać roli obszar zajętego terytorium, ale decydującą rolę gra czas i zagadnienie zniszczenia głównych sił Woroszyłowa, Tymoszenki i Budiennego. Odbywa się dramatyczny wyścig do pory mrozów i śniegów, a poszczególne etapy tych zawodów w walce na śmierć i życie, śledzi z zapartym oddechem cały świat.

Od faktu oporu lub klęski armii rosyjskiej, zależą, mówiąc bez najmniejszej przesady po prostu losy wojny. Zdawaliśmy sobie sprawę, że do wojny między Rosją a Niemcami dojść musi. Mimo to jednak, kiedy spotykaliśmy się z twierdzeniami, że "Stalin napewno pójdzie z Hitlerem", że Rosja się podda, że należy się liczyć z walką w Persji i Indiach—przejmował nas dreszcz przerażenia. Opanowanie Rosji przez Niemcy otwarłoby na oścież drogę nie tylko do Indii, nie tylko na Ocean Spokojny, ale również na Bliski Wschód, do Egiptu, do basenu Morza Śródziemnego, stawiałoby W. Brytanię w położeniu więcej niż trudnym i więcej niż niebezpiecznym.

Na całe szczęście, Rosja stawiła zbrojny opór Niemcom i to opór o wiele silniejszy, o wiele większy, aniżeli wielu ludzi sądziło. Plan niemiecki rozbicia armii rosyjskiej za pomocą uderzenia na wzór kampanii w Polsce lub we Francji zawiódł, *niemniej jednak ostatnie postępy Niemców są poważne.* Można mówić o planie Kutuzowa, można snuć analogie z rokiem 1812, ale nie ulega wątpliwości, że Rosjanie, podobnie zresztą jak w czasie kampanii napoleońskiej, ponieśli szereg klęsk, że stracili mnóstwo ludzi, a co najważniejsze, stracili wielką część bezcennego w tym okresie wojny, sprzętu. Niemcy atakują Zagłębie Donieckie, najważniejszy okręg przemysłowy Rosji.

Hitler powraca do klasycznego planu, jakim było uderzenie przede wszystkim na południe, przy trzymaniu tylko defensywnych sił na północy. Popełnił on kolosalny błąd, organizując dla celów propagandowo-politycznych cesarskie, napoleońskie cięcie w Smoleńsk, które miało w krótkim czasie zaprowadzić czołgi Führera do Czerwonego Placu w Moskwie. Plan zawiódł, wojska niemieckie poniosły bardzo poważne straty—i niemiecki sztab generalny, stosuje swój właściwy plan ataku na południe. Celem tego uderzenia jest przede wszystkim Rostow *to znaczy węgiel* i Kaukaz *to jest nafta.* Tak, jak zatrzymanie ofensywy jest początkiem klęski niemieckiej, tak opanowanie Kaukazu byłoby katastrofą dla Rosji. Na całym obszarze olbrzymiego państwa nie ruszyłby ani jeden motor.

Niemcy sami ogłosili listę strat, oceniając je na pół miliona ludzi. Można z całą pewnością twierdzić, że jest to liczba przesadnie mała. Należy ją co najmniej podwoić, aby otrzymać, chociaż w przybliżeniu, cenę, którą Niemcy płacą za hitlerowską próbę naśladowania Napoleona. Ale niemniej ciężkie są straty rosyjskie. Smoleńsk i Kijów, dwa duże miasta, są niemal doszczętnie zniszczone, bardzo również ucierpiał Leningrad. *Rosja już dzisiaj potrzebuje bardzo wydatnej pomocy W. Brytanii i Ameryki.* O pomoc tę proszą ambasadorzy Stalina w Londynie i Waszyngtonie. Pomoc ta jest potrzebna i należy ją dać dla dobra wspólnej sprawy.. Lecz właśnie dlatego fakt ten nasuwa wnioski polityczne, które najoględniej sformułowane, można wyrazić w zdaniu:

"Roli i siły Rosji nie powinno się było nigdy lekceważyć, nie wolno było jej nie doceniać, ale nie powinno się było również jej przeceniać. Rosja jest niewątpliwie cennym sprzymierzeńcem dla Zachodu—ale w jeszcze większym stopniu niezbędnym jest dla Rosji Zachód, to znaczy Anglia i Ameryka."

Na tle tych faktów, rysuje się bardzo wyraźnie rola Polski. Jesteśmy najwierniejszym sprzymierzeńcem W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, chcemy najlojalniej dotrzymać wszystkich warunków układu z Rosją, co więcej, chcemy i w przyszłości żyć z Rosją w najlepszych stosunkach sąsiedzkich. Lecz właśnie dlatego, że wchodzimy w orbitę Zachodu, którego Moskwa dzisiaj potrzebuje a jutro będzie potrzebowała jeszcze bardziej—musimy się domagać, aby nasze najżywotniejsze postulaty życiowe były respektowane, aby dla dobra wspólnej sprawy. dla dobra przyszłych stosunków polsko-rosyjskich *już dzisiaj stwierdzono bardzo jasno i wyraźnie, że nasz układ z Sowietami jest wstępem do przywrócenia tego stanu rzeczy, jaki istniał między Polską a Rosją przed 1 września 1939, stanu prawnego, opartego i na dobrowolnie zawartym a bardzo z naszej strony kompromisowym, układzie pokojowym i na pakcie o nieagresji z 1932 roku.* Bieg wypadków historycznych wykazał niezbicie, że Polska jest ośrodkiem równowagi europejskiej. Mamy prawo żywić nadzieję, że z tych pewników i geograficznych i dziejowych—wyciągną należyte wnioski wszystkie państwa, dla których klęska Polski stała się bezpośrednim powodem śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Opanowanie kontynentu europejskiego przez Niemców nie jest zadowoleniem "sprzymierzonych" ludów. Nie wierzymy w entuzjazm ani Węgrów, ani Słowaków, ani Chorwatów, ani Rumunów, ani nawet—Włochów. Sytuacja Mussoliniego staje się co raz mniej pewna na półwyspie apenińskim. Wiadomości, nadchodzące z Rzymu okrężną drogą, przez Waszyngton, są, w największym stopniu zastanawiające. Niezadowolenie daje się wyczuwać nie tylko w szerokich kołach społeczeństwa, ale nawet w partii faszystowskiej. Co więcej, wymienia się już osobę zdecydowanego przeciwnika i reżimu i Mussoliniego. Ma być nim ks. Aosta, b. naczelny wódz armii włoskiej w Abisynii. Ks. Aosta zachował się na polu walki po żołniersku, wrócił do swych dywizji samolotem z Rzymu, dokąd go wzywał król—i poszedł do niewoli, jak ci, którzy pod jego rozkazami walczyli. Obowiązek swój spełnił, ale ze swą opinią o niewłaściwej polityce Mussoliniego, zarówno wewnętrznej jak i zagranicznej—wcale się nie kryje. Przez długi czas uchodził za przeciwnika faszyzmu ks. Humbert, następca tronu, jednakowoż nadzieje, przywiązywane do jego osoby, nie bardzo się spełniły. Dzisiaj człowiekiem, o którym co raz to więcej mówi się we Włoszech ma być ks. Aosta.

Gdyby rzeczywiście, pod naciskiem społeczeństwa, doszło we Włoszech do zasadniczych zmian w stosunku nie tylko do WBrytanii, ale w ogóle do Europy —byłby to już nie tylko świt, ale rzeczywisty wschód słońca. *Rola Włoch, wprzęgniętych do rydwanu niemieckiego jest potworna.* Nie tylko posłannictwo, ale najżywotniejszy interes państwowy włoski, wymaga jak najszybszej, jak najradykalniejszej rewizji potwornego błędu Mussoliniego. Przymierze z Niemcami jest katastrofą Italii, wszystko jedno czy Niemcy wygrają czy poniosą klęskę. W pierwszym wypadku, Włochy zostaną sprowadzone do rzędu wasala, łacińskiego uczestnika Trzeciej Rzeszy,ale nawet bez tych praw, jakie zdołała zachować np. Bawaria. W drugim—Włochy, podobnie jak Austro-Węgry w 1919 roku, będą płaciły koszty najgorszej polityki. Na wycofanie się z tej drogi jest jeszcze czas, podobnie, jak była okazja oderwania się Austrii od Niemiec w 1917 roku. Ale tygodnie są już policzone.

Wielką falą przewalają się aresztowania we Francji. Budzi się duch oporu, starych łacińskich narodów. W interesie Polski, Anglii, w interesie wolności i bezpieczeństwa całego świata, należy życzyć, aby wielki geniusz rasy gallijsko-rzymskiej jeszcze raz zwyciężył, aby zatriumfowała znowu stara, a wciąż wielka i najbardziej aktualna koncepcja Richelieu'ego i naprawdę twórcze idee włoskie z bohaterskiego okresu powstawania nowoczesnej Italii.

tk

Mr. Priesley z Home Guard na holiday 'u

rysował Jerzy Faczyński

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBey 6694.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.